GŁOS KARMELU

Miesięcznik poświęcony głębszym zagadnieniom życia wewnętrznego

TREŚĆ ZESZYTU

Nr 10

ROCZNIK XIX

PAŹDZIERNIK 1950

Do P. T.

PRENUMERATORÓW „GŁOSU KARMELU"

Wydawnictwo powiadamia Szanownych Prenumeratorów „Głosu Karmelu", iż z powodu zwyżki kosztów druku prenumerata naszego miesięcznika od miesiąca lipca włącznie wynosić będzie 50 zł za pojedynczy zeszyt a prenumerata roczna 550 zł.

Administracja „Głosu Karmelu"

GŁOS KARMELU

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY GŁĘBSZYM ZAGADNIENIOM ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO

Rocznik XIX Październik Nr 10

O. *Witold Karmelita Bosy*

Ideał człowieka modlitwy i czynu

w »Drodze doskonałości« św. Teresy od Jezusa

Programowym dziełem św. Teresy od Jezusa jest jej „Droga doskonałości". Na jego kartach znajdujemy rozplanowaną i szeroko omówioną strukturę i rozwój życia duchownego. Książkę tę, choć Święta przeznaczyła w pierwszym rzędzie dla swych córek duchownych, karmelitanek, pisała z myślą o szerokim ogóle czytelników. W sferze wpływów idei, w dziele tym zawartych, znalazły się nie tylko karmelitanki, lecz i wszyscy ci, którym w jakikolwiek sposób dane było zetknąć się z Karmelem. Przede wszystkim pełni wyrzeczenia „poszukiwacze Boga" z potrzeby i tęsknot serca. Przez dzieła Świętej czują się pociągnięci także i inni, może trochę mniej wspaniałomyślni i odważni, których o zawrót głowy przyprawia przeczytanie czegoś w przedmiocie wysokiej ascezy i mistyki. Nie można, broń Boże, zarzucić, żeby im czegoś brakowało w ich szlachetnych zamiarach. To tylko jedno z pewnością, że widząc te zawrotne szczyty, przedstawione piórem fachowych i obeznanych z terenem pisarzy, a z drugiej strony w pokorze swej czując swą słabość i niewystarczalność swych pragnień, nie widzą możności zrealizowania autentycznej świętości we własnym przeżyciu.

Otóż tym ostatnim „Droga doskonałości" przychodzi w pomoc, dodaje otuchy, otwiera jakoby na oścież wrota jakieś tajemne na nieskończone możliwości osiągnięć przez zwyczajne środki i czynności dnia powszedniego. Nawet takie życie, które by się zdawało, że nie posiada szans, ni możności rywalizowania z duszami uprzywilejowanymi w walce o nadziemskie wartości, „Droga doskonałości" wznosi ponad przeciętność ku nadziemskim celom. „Droga doskonałości" świętej Teresy ma za cel po-

kazać człowieka ideału modlitwy, to jest takiego, który to czym się modli tym też żyje w całej pełni.

Głęboki talent, niezaprzeczona delikatność Świętej w dotykaniu wewnętrznych spraw człowieka oraz niezawodne doświadczenie sprawiają, iż na jej dowodzenia zgadza się czytelnik bez większych oporów wewnętrznych, owszem, w wielu wypadkach jest wprost porwany czarem jej prostoty w przedstawieniu zagadnień.

Punktem wyjściowym rozumowań Świętej są słowa Modlitwy Pańskiej, tej modlitwy, którą codziennie odmawiamy, a jej wartości życiowych ani się nie domyślamy albo przynajmniej zbyt mało o tym myślimy co mówimy. Święta mówi, że móc te słowa „Ojcze nasz, któryś jest w niebie“ powtarzać nie tylko słowem ale i czynem, bez zakłamania i fałszu, jest ideałem godnym najświętszych pragnień. Ileż na przykład wymaga nieprzeciętnej cnoty to jedno tylko świadomie wypowiedziane i z miłością najgłębszą rzucone Bogu „Ojcze!“ Czyli że Bóg winien być dla nas czymś najdroższym i najserdeczniejszym. By wypowiedzieć te słowa szczerze, trzeba nam być Jego dziećmi najoddańszymi.

Zanim jednak Autorka przejdzie do szczegółowego rozważenia poszczególnych próśb Modlitwy Pańskiej, szeroko dowodzi potrzeby gruntownego przygotowania do szczerego ich wypowiedzenia. Oczywiście, św. Teresie nie chodzi w tym wypadku o wypowiedzenie tylko słów, ale o wypowiedzenie się w czynie. Do samych tylko słów i myśli, choćby najpiękniejszych święta Mistrzyni nie przykłada większej wagi. „Nie powinno się — mówi — całkowicie zwracać uwagi na pewne myśli przychodzące nam w czasie modlitwy do głowy i przekonujące nas, jakobyśmy były gotowe na przedsięwzięcie wielkich rzeczy, dla zbawienia choćby jednej duszy; jeżeli tym myślom nie odpowiadają nasze uczynki, w żaden sposób nie powinniśmy wierzyć tej naszej gotowości“ (Twierdza wewn.: Mieszk. V, r. III, 9).

Jako pewną podstawę, niezawodną, doświadczalną, na której można by sprawdzić szczerość i oprzeć eteryczność świętych pragnień, „Droga doskonałości“ podaje trzy zasady.

Pierwsza z nich brzmi: *„Bóg wszystkim, wszystko inne niczym“*. Ulubione zdanie św. Teresy: Todo es nada, Dios es todo“ stawia człowieka wobec walki ze sobą. Mylnie rozumowałby ktoś, gdyby myślał, że służba Bogu kończy się na paru wzniosłych słowach modlitwy. Nie. Za wypowiadanymi słowami jako nieodłączna konsekwencja musi iść praca — praca i życie na miarę wypowiadanych słów. Przypominają się słowa Chrystusa:

„Nie ten, który mi mówi..., ale ten, który czyni". Św. stwierdza mocno: „trzeba walczyć z sobą i zwyciężać siebie" (Droga dosk., r. XII, 1). Tę walkę z sobą, pełną wyrzeczeń i samozaparcia nazywa długim męczeństwem w przeciwieństwie do krótkotrwałych nieraz mąk męczenników.

O słuszności swego twierdzenia święta Mistrzyni wnioskuje z tego, że kto oddawszy wolę swą Bogu, zaczął szczerze i naprawdę służyć Bogu, ten już nic nie może ofiarować Bogu ponad tę trochę życia swego, w którym jednego dnia nie mamy pewnego (Droga, XII, 3).

A zatem *oddanie się Bogu całkowite i bez zastrzeżeń* to druga zasada św. Teresy. „Prawda„ że Pan nie chce zmuszać woli naszej, więc przyjmuje co Mu damy, ale całkowicie nam siebie nie odda, póki my całkowicie nie oddamy się Jemu" (Droga, XXVIII, 12). Bóg w miarę jak dusza się Mu oddaje, powoli władze jej rozszerza i rozprzestrzenia, by zdolna była objąć przeróżne mnóstwo łask, jakie w niej składa. Oddać się Bogu całkowicie, to przede wszystkim oddać Mu swoją wolę.

Jak więc z pierwszej zasady wynikła konieczność wszechstronnego wyrzeczenia i umartwienia i znalazła wyraz swój w całkowitym oddaniu się Bogu, tak z tej drugiej zasady wyprowadza Święta trzecią: *potrzeba najdoskonalszej zgodności woli naszej z wolą Bożą.* „Rzecz widoczna — pisze Święta — że najwyższa doskonałość nie polega na pociechach wewnętrznych, ani na tym, by kto miewał wielkie zachwycenia, widzenia i ducha proroctwa, jeno na tym, by wola nasza była tak zgodną z wolą Boga, iżby nie było takiej rzeczy, której byśmy nie chcieli całą wolą naszą, skoro wiemy że Bóg jej chce i przyjmowali równie przyjemnie rzeczy przyjemne jak i przykre, gdy wiemy że taka jest wola Jego" (Droga, XVIII, 7).

A jakież smaczne owoce kosztuje dusza, gdy doprowadzi do uzgodnienia tego życia modlitwy z życiem codziennym! Skoro dusza uświadomiła sobie, że Bóg jest wszystkim, z ufnością wielką i spokojem zwraca się do Niego w akcie serdecznej modlitwy: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie". Względem tego Ojca, „który z natury swej musi być lepszym od wszystkich ojców na ziemi, bo wszystko co w Nim jest musi być najwyższym i doskonałym dobrem" (XXVII, 2), dusza czuje się swobodna i nieskrępowana: i tak zaczyna się nazwana przez św. Teresę *modlitwa skupienia.*

A gdy dusza postępuje w wierności i zdecyduje się na wyciągnięcie ostatnich konsekwencji z drugiej zasady, z całkowitego oddania się Bogu, wtedy osiąga wyższy stopień, nazwany przez Świętą *modlitwą odpocznienia.* Cóż może napełnić peł-

niejszym spokojem duszę nad to, gdy spoczywa w Bogu, a szczególnie gdy mówi Mu szczerze a jeszcze szczerzej wypełnia tę prośbę: „Bądź wola Twoja?“ Modlitwa ta podobną jest modlitwie świętych w niebie. Jest zapewne mniej od niej doskonała, bo jeszcze „łódź nasza żegluje na pełnym morzu. Ale bywają chwile wytchnienia dla dusz, drogą modlitwy do ojczyzny niebieskiej dążących. Widząc je strudzone drogą, Pan niekiedy przenosi je w pewien stan uspokojenia władz i odpocznienia duszy, w którym jakoby pod osłoną znaków daje im jasne widzenia i smak niejaki tych rzeczy, które zgotował wybranym swoim, gdy kiedyś weźmie ich do królestwa swego“ (Droga, XXX, 6).

Kiedy wola człowieka jest już tak uzgodniona z wolą Bożą, pozostaje krok nieledwie do osiągnięcia celu. Już nic nie leży na przeszkodzie do zdobycia *modlitwy zjednoczenia* a w niej osiągnięcia miłości doskonałej, tej miłości Boga i bliźniego, o której mówimy w następnych prośbach Modlitwy Pańskiej: „Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“. Św. Teresa dodaje: „Kto prawdziwie miłuje Boga, ten wszystko miłuje cokolwiek jest dobrego, i cokolwiek jest dobrego pragnie, i cokolwiek jest dobrego popiera, i cokolwiek jest dobrego pochwala, i z każdym dobrem się łączy, i wszędzie gotów go bronić, i wszelką cnotę sercem obejmuje, i niczego nie kocha jeno prawdę i co jest godnym kochania“ (XL, 3).

Myśli i zasady świętej Teresy znajdują swój wyraz najwznioślejszy w miłości, która jak powiada św. Paweł, jest celem przykazania (I Tym., I, 5) i jest wieczna bo nigdy nie zgaśnie. Tutaj uprzytomnimy sobie, że ideał, jaki święta Teresa stawia czytelnikom swej „Drogi doskonałości“ pokrywa się jak najzupełniej z ideałem ewangelicznym. I nie tylko ideał sam w sobie wzięty jest ten sam, lecz i ideał od jego strony realizacyjnej, od strony wyrzeczenia Woli Ojca jest identyczny.

Nauka św. Teresy zawarta w „Drodze doskonałości“ wiedzie tam dokąd wzywa nas Ewangelia.

S. Leonia Niepokalanka

Starość — drogą ku życiu wiecznemu

Smutnym się może wydawać los człowieka, który przez długie lata cieszył się dobrym zdrowiem, żywotnością energią, rozwijał nieraz szeroką działalność lub tylko spełniał swój szary, codzienny obowiązek, gdy na starość znajdzie się w odmiennych warunkach. Czuje on upadek sił, zanik stopniowy władz; pamięć go zawodzi, wola traci na odporności. Trapią go różne niedomagania, staje się ciężarem dla siebie i dla drugich.

Osłabienie władz fizycznych oddziaływuje i na stronę moralną: starzec staje się niekiedy drażliwy, wady jego przybierają zazwyczaj ostrzejszą formę. Trudno mu też zastosować się do zmian zewnętrznych.

Starzec jest z natury konserwatystą, tęskniącym za przeszłością, jak to stwierdził już Horacy, nazywając go „laudator temporis acti"[1]). Wszelkie zmiany, innowacje, przewroty sprawiają mu przykrość. Boli go lekceważenie tradycji przez młodych. On sam przeżył swych współczesnych i bliskich, więc koło niego wytworzyła się pustka; żyje wspomnieniem dawnych czasów, czego nie rozumieją młodzi, porwani w tryby nowego życia. Nie ma on z kim dzielić swych myśli i uczuć czuje się niezrozumiany i to go oddala od obecnego pokolenia.

Objawy te wszakże nie występują u wszystkich w jednakowym stopniu. U niektórych ludzi zmysły działają do końca życia sprawnie, zdrowie jest czerstwe, umysł pozostaje żywy i łatwo się nagina do zmiany warunków. Gdy jednak choroba przykuje starca do łoża boleści i uczyni go zależnym od otoczenia, poczuje on wyraźnie nędzę podeszłego wieku, tym bardziej, że mało jest widoków na całkowite uleczenie.

Jeżeli starzec żyje w środowisku ubogim, ciężar ten przytłacza go z tym większą siłą. Niekiedy wegetuje on w opuszczeniu, gdy cała rodzina jest przy pracy, a wnuki w szkole; gorzej jeszcze, gdy nikogo z bliskich nie ma on przy sobie. Dzisiejsze instytucje socjalne usiłują zaradzić ciężkiemu położeniu ubogich, chorych i samotnych starców. Zakłada się specjalne domy, przytułki i szpitale

W związku z osamotnieniem w starości, wytworzyć się może pewna nieunikniona psychoza zniechęcenia, żalu i pretensji do świata i ludzi. Myśli dręczące nurtują człowieka, który nie może ich odegnać pracą i zmianą miejsca. Widok ustawiczny tych sa-

---

[1]) „Chwalca lat minionych", Ars poetica. v. 173

mych ścian i sprzętów działa nieraz deprymująco. Niepewność jutra świadomość pogarszającego się stanu zdrowia doprowadzić mogą starca do rozpaczy, jeżeli miłująca i delikatna ręka nie zaradzi i nie ulży w niedoli. W człowieku, który nie nakłada w ciągu życia hamulca na swe namiętności i przywary, w latach późniejszych wezmą one nad nim górę, wreszcie opanują go całkowicie. Stanie się on skąpym, chciwym, egoistą; przez wymagania swoje i uciążliwe dla otoczenia, wywierać będzie istną tyranię, nieznośną dla drugich.

Mimo tych ujemnych stron starości, z punktu widzenia wiary jest ona i powinna być etapem końcowym, wiodącym do Boga. — Przez nią prowadzi nie droga w dół, lecz szlak wstępujący wzwyż w ustawicznym postępie. Ciało wprawdzie słabnie, zużywa się, schyla ku ziemi, lecz dusza ma się wznosić, rozwijać skrzydła ku wieczności.

Dziś, kiedy dzięki ogromnemu polepszeniu się warunków higienicznych i postępom w naukach medycznych, przeciętna długość życia ludzkiego znacznie wzrosła, wiele osób może się spodziewać, że doczeka się późnej starości. Wiara zaś wskazuje na to, że Opatrzność udziela każdemu łask potrzebnych i temu, który wcześniej będzie musiał pożegnać się z tą ziemią, jak i temu, który do późnej starości jest powołany na niej przebywać. Łaski te zastosowane do potrzeb jednostki i okoliczności, w którym jej danym jest żyć, są z pewnością zawsze wystarczające i ułatwiają przejście przez tę trudną epokę. Na nich się opierając i czerpiąc z nich siłę, nie będzie się cofał lecz, przeciwnie, kroczyć będzie naprzód.

Starzec uwzględniając postępującą słabość swego organizmu, musi z konieczności zwrócić najpierw staranniejszą uwagę na swe zdrowie i oszczędzać swe siły. Higieniści doradzają jednak umiarkowany ruch, lekką gimnastykę, nie zbyt męczące spacery na powietrzu, unikanie ciężkich potraw. Nie trzymając się za puls i unikając hipohondrii, starzec powinien stosować się do tych wskazówek, by nie zaciężyć drugim swym niedołęstwem. Gdy zaś przyjdą choroba, kalectwo lub inne dolegliwości, musi wyjść im naprzeciwko z pogodą i uśmiechem na ustach, ale być przygotowanym na to, że mimo oporu w jego fizyczności i chwilowego pokonania wroga one nieubłaganie wezmą nad nim górę. Praca nie wytężająca, ale stała i pożyteczna jest wskazana dla osób w posuniętym wieku. Praca prawem Bożym dla wszystkich, ona przynosi pożytek dla ciała i duszy, ona odrywa od siebie, od kręgu własnych myśli i zachcianek, daje tę pociechę, że można jeszcze przysłużyć się drugim i poczucie, że nie jest się martwym członkiem społeczeństwa.

Równocześnie ważną, choć trudną rzeczą dla starca jest umieć wycofać się w porę z zajmowanego stanowiska, nie czekając, aż inni dadzą mu do zrozumienia, że należałoby to uczynić. Gdy robota przestaje iść gładko jak dawniej, gdy zdarzają się coraz częstsze niepowodzenia i siły kategorycznie odmawiają posłuszeństwa, znak to, że nadeszła godzina ustąpienia miejsca młodszym i sprawniejszym. Przykre to dla natury, ale zarazem zdrowe, bo odwiązuje od odczesności i oswaja z myślą, że zbliża się chwila, gdy wszystko przyjdzie opuścić.

Starzec nie powinien też upierać się w narzucaniu drugim swoich rad i wskazówek, bo chociaż jego wieloletnie doświadczenie daje mu poniekąd do tego prawo, z drugiej strony winien pamiętać, że świat idzie wciąż naprzód, że zdobycze ludzkości pomnażają się z każdym rokiem; co było roztropne i aktualne kilkadziesiąt lub kilkanaście lat temu, przestaje często nim być w dzisiejszej dobie, a z tą myślą trudno się starcowi oswoić.

Z latami zmniejsza się grono jego przyjaciół. Dawni schodzą do grobu, nowych przeważnie nie przybywa, a trudno o nawiązanie świeżych stosunków. Z bólem trzeba się żegnać z odchodzącymi, ale i z wiarą, że odnajdziemy się w życiu przyszłym. choć nie wiadomo w jakiej formie. Musimy jednak przyjąć za pewnik, że miłość nasza wzajemna, zwłaszcza w swoim pierwiastku nadprzyrodzonym, nigdy nie zginie.

Starzec, który przeżył 2 lub 3 pokolenia, staje się łącznikiem, pomostem między nimi. Jeżeli Bóg przedłuża jego pobyt na tej ziemi, nie jest to przypadkowe, lecz wyraźnie uplanowane w zamiarach Opatrzności. Widocznie ów człowiek ma jakąś misję do spełnienia, czy pomocniczą czy ekspiacyjną, za siebie lub drugich. Ma się on oddać pokoleniom wstępującym w życie, ma im służyć przykładem, radą, dobrym słowem; ma szerzyć ducha pokoju i miłości wśród ludzi.

Skarb doświadczenia, jakiego dostarczyło mu życie, nie na darmo otrzymał. Powinien więc nim szafować roztropnie, w miarę. bez narzucania się i dyskretnie. Młodzież na ogół nie docenia jego wartości; uniesiona wirem postępu, nie zdoła rozpoznać mądrości zawartej w przeszłości. Życie samo musi nauczyć ją wielu prawd i doprowadzić owoc do stopnia dojrzałości. O znaczeniu doświadczenia przekonają ją jedynie własne przeżycia.

Trzeba więc w niejednym ustąpić młodym i nie obstawać zbyt ostro przy swoim, choćby słusznym zdaniu, zwłaszcza w rzeczach drugorzędnej wagi, na to, by móc mocno podkreślić prawdy istotne i zasadnicze. Światopoglądy w ostatnim półwieczu uległy radykalnej zmianie i ewolucja ta w wielu punktach zdaje się nie być

ukończona. Choć dawna generacja przeważnie nad tym cierpi, biegu rzeczy zatrzymać nie zdoła i musi się z niejednym pogodzić.

Nic nie pomoże dziwienie się i utyskiwanie nad tym stanem rzeczy; lepiej pogodnie stosować się do zmian i usiłować dotrzymać kroku w pochodzie ludzkości, by samemu nie zostać w tyle. Czytanie czasopism i nowych książek utrzymuje każdego w świadomości nowych poglądów współczesnej techniki, odkryć i zdobyczy umysłu ludzkiego.

Każda epoka ma swoje dodatnie i ujemne strony i lepiej dopatrywać się właśnie dodatnich, obiektywnym spojrzeniem obejmując sprawy.

Starość jednak to przede wszystkim okres dany człowiekowi na doskonalenie się; to czas, w którym dusza ma wznosić się wzwyż; wszystko bowiem ku temu ją skłania: więcej jest możliwości i czasu na modlitwę, skupienie, zastanowienie się, bo więcej samotności i odsunięcia od świata.

Cechą szczególną starości powinna być dobroć i życzliwość dla drugich. Dobroć była charakterystycznym przymiotem Chrystusa na ziemi, jest też w odbiciu Chrystusowej doskonałości znamieniem świętych. Dobroć nie jest słabością ani biernym uleganiem, jak mniemają niektórzy, ale jest siłą przetwarzającą. Ona zjednywa serca, toruje drogę do wpływu, ułatwia współżycie z bliźnimi, jest szczeblem do prawdziwej cnoty. Uśmiech życzliwości na obliczu starca, to promień spływający ze słońca Bożej miłości. — Starzec znoszący pogodnie swe cierpienia, z poddaniem się woli Bożej, z ukochaniem krzyżującej go ręki Opatrzności, działa podnosząco na otoczenie, buduje je swym przykładem. Dobroć jego, objawiająca się w słowach i życzliwym obejściu, ma swe źródło w sercu kochającym Boga i bliźniego, w przychylnym nastawieniu do drugich. Dobroć bowiem czysto przyrodzona nie wytrzymuje próby i pryska przy pierwszej przeciwności. Nie jest równa dla wszystkich, lecz kieruje się sympatią lub antypatią, nie potrafi być obiektywna i bezstronna. Z dobroci wypływa pewien optymizm, który wszystko tłumaczy na dobre, widzi świat i ludzi w jasnych barwach, nie sądzi surowo, lecz kieruje się wyrozumiałością, działa w duchu przebaczenia. Słusznie powiedziano, że, aby czynić dobrze, trzeba w dobro wierzyć, umieć je odkrywać koło siebie i na nim budować. Pesymizm jest destruktywny, nic stworzyć nie zdoła, osmuca, budzi zwątpienie, a tym samym odbiera energię. Starzec, który przeszedł przez życie, zna siebie, swoje przywary i niedociągnięcia, patrzy więc pobłażliwie na wady drugich, nie dziwi się, ne oburza, bo wie dobrze, do czego sam jest zdolen; ta jego wyrozumiałość wywołuje zwierzenia, które umożliwiają mu udzie-

lanie dobrych rad i wspomagają tych, którzy potrzebują wskazówek.

Dusza zbliżająca się do ostatniego kresu czuje więcej niż kiedykolwiek potrzebę łaski i pomocy Bożej, a znajdzie ją przede wszystkim w modlitwie. Prośba uczniów z Emaus: „Zostań z nami, Panie, bo się ma ku wieczorowi“ — nasuwa się zwłaszcza w okresie zachodu życiowego. Dlatego modlitwa, korne wołanie do miłosiernego Boga za siebie, za bliskich i dalekich, za Ojczyznę i świat cały, winna w szczególności towarzyszyć starcowi w ostatnich latach jego życia na ziemi. Przedtem może nie było dla niej miejsca wśród zajęć, praca pochłaniała każdą chwilę. Nadszedł obecnie czas wielkich końcowych rekolekcji, mających duszę przysposobić do rozstrzygającego przejścia przez próg wieczności, a tym progiem jest śmierć. Starzec musi stopniowo oswajać się z myślą o śmierci, bez lęku i trwogi ją rozważać, patrzeć na nią nie jak na straszaka, jak na ciemną otchłań, ale ufnie, pod kątem wiary, jak owa zakonnica, która śmierć nazwała „skokiem w objęcia miłosiernego Ojca“.

Modlitwą starzec uprosi sobie łaski potrzebne na tę chwilę ostatnią, skruchę za grzechy, ufność w niewyczerpane miłosierdzie Boże; ona wzmocni jego wiarę w Stwórcę i w przyszłe życie. Rozważanie prawd Bożych ugruntuje jego zasady religijne, może dotychczas powierzchowne i chwiejne. W świetle łaski poglądy jego się pogłębią, spojrzenie jego na świat nabierze tonu nadprzyrodzonego. Znikną wątpliwości, ustanie walka, namiętności się uspokoją. Wzmocni się przekonanie o szczodrości Boga, który przez całe życie człowieka obsypywał go darami i zrozumie on jak dalece nie umiał wdzięcznie ich przyjmować, ile z nich zostało zmarnowanych, odrzuconych, lekkomyślnie zdeptanych. Wyraźnie stanie mu przed oczami słabość jego, niemoc i niewierność w odpowiadaniu na dobrodziejswa Boże. Takie obliczenie się ze sobą, dokładne zdanie sobie sprawy z przeszłości, z wysiłków i upadków, z postępu i cofania się, przyniesie ogromne korzyści i zmusi do całkowitego zdania się na Boga. To usposobienie, ufne i pokorne, będzie najlepszym przygotowaniem duszy do przebycia progu wieczności.

Gdy siwizna pokryje skronie, człowiek musi sobie uprzytomnić coraz wyraźniej, że owa wieczność się zbliża, że może już niedaleka... Ona zaś powinna przynieść życie nowe, nieustające posiadanie Boga i oglądanie Go twarzą w twarz, uczestnictwo w pełnej chwale Bożej.

Owo szczęście wiekuiste, które nas czeka i na które zasłużyć sobie musimy, jest największym darem Boga, darem darmo danym, do którego choć w małej mierze powinniśmy się przyczynić.

O. Maria-Dominik Newman O. S. P.

Konieczność kultu Maryjnego

Oprócz wielkiej użyteczności i rozlicznych dobrodziejstw, jakie z sobą wiedzie, kult Maryjny jest dla każdego katolika konieczny. Konieczność ta nie odnosi się do jednego z rodzajów kultu, ale dotyczy go jako takiego, branego w całej rozciągłości. Innymi słowami nabożeństwo do N. Panny jest koniecznością bezwzględnie dla każdego katolika, choć nie w tym samym stopniu odnośnie do poszczególnych przejawów tego nabożeństwa.

Ten stosunek kultu Maryjnego do naszego zbawienia jest jedną z najbardziej ważnych spraw dla nas ludzi. Dobre jej rozwiązanie potwierdza stanowisko katolików w praktykowaniu nabożeństwa ku Najśw. Marii P., potępia zaś odwrócenie się od Marii akatolików.

Konieczność kultu Maryjnego do osiągnięcia zbawienia podkreślali mniej lub więcej wyraźne liczni Ojcowie i Doktorowie Kościoła, (z których kilku potem przytoczymy), zwłaszcza, gdy przedstawiali rolę N. Panny w rozdawnictwie wszystkich łask. Jednak w sposób szczególny dopiero w wieku XVII kwestię tę zaczęto omawiać. Między innymi O. Crasset T. J. 1618—1692) w traktacie „La véritable dèvotion envers la Sainte Vierge" poruszając konieczność modlitwy, wyciąga wniosek, że nabożeństwo ku Bogarodzicy jest „najpożyteczniejsze i w pewien sposób konieczne" (str. 22). Van Ketwig O. P. w dziele „Panoplia Mariana" twierdzi, iż jest ono konieczne do zbawienia dla wszystkich, przynajmniej dla większej pewności" (str. 148).

Pierwszym, który w sposób kategoryczny postawił zasadę konieczności nabożeństwa do N. Panny w dziele zbawienia i przekonywująco ją dowiódł, jest jak się wydaje św. Ludwik Maria Grignon de Montfort (1673—1716) w swym traktacie „O Prawdziwym Nabożeństwie do N. Marii Panny" (rozdz. I). To samo twierdził stanowczo św. Leonard a Portu Maurizio (1676—1751) współczesny św. Grignonowi. Obydwaj ci święci łączą konieczność kultu wzywania Bogarodzicy z faktem Jej powszechnego pośrednictwa w rozdzielaniu łask.

W XVIII w. L. A. Muratori zwalczał mocno tezę o konieczności nabożeństwa do N. Panny w sprawie zbawienia, twierdząc, iż jest ono „bardzo godne pochwały i pożyteczne", ale bynajmniej nie konieczne. „Bez takiej pomocy — powiedział — może się bardzo wielu zbawić" (Esercizi Spirituali esposti secondo il metodo del P. Paolo Segneri gluniore, Venezia, 1771, str. 409 i 416). Twierdzić coś przeciwnego byłoby, według Muratoriego herezją potępioną przez Kościół (Epistolario. Modena 1901. 22 t. list 1273, str. 1471—80).

Twierdzenie Muratoriego usiłowali zwalczyć O. Boecklin w 1740 r., O. Liberius od Jezusa O. C., O. Daniel Concina (ten opiera swój dowód na twierdzeniu: każdy obowiązany jest „skuteczniejszym sposobem, jaki ma starać się o swe zbawienie), O. Plazza (konieczność nabożeństwa Maryjnego, powiada on, wynika z miłości należnej sobie samemu, gdyż należy do środków „bardzo korzystnych, będących pod ręką i łatwo dających się nabyć“ i ponieważ wzywanie Bogarodzicy jest środkiem jak najbardziej zdolnym“ wyjednać nam łaski) i św. Alfons Liguori. W dziele „Selva“ stawia św. Alfons twierdzenie o moralnej konieczności do zbawienia praktykowania nabożeństwa do N. Panny. Wywody swe kończy wnioskiem: „wyprowadza się zły prognostyk o takim człowieku, który stale żyje zdala od nabożeństwa Maryjnego“ (Selva ed 1871, str. 230).

W XIX wieku odnowił spór Pusey anglikanin w dziele Eirenicon. Zbił go kard. J. H. Newman rozróżniając między tymi, co zaniedbują, a tymi, co w dobrej wierze nie mają żadnego nabożeństwa do N. Panny. Pierwsi posiadając wystarczające poznanie sprawy obrażają pozytywnie N. Pannę. Drudzy pozytywnie nie obrażają M. Bożej (Difficulties of Anglicans, str. 106).

Obecnie wszyscy bez wyjątku uznają konieczność nabożeństwa do N. Panny, naturalnie przy ściśle i dokładnie określonym stanie tego zagadnienia. Mianowicie muszą być tu jasno sprecyzowane pojęcia.

Konieczność, o której tu mowa, nie jest koniecznością absolutną i poprzedzającą wszystko, czyli nie wypływa z samej natury zbawienia się, jak gdyby Bóg nie mógł ludzi zbawić bez N. Panny. Jest to konieczność warunkowa i wynikająca z wolnej Woli Boga, który tak postanowił udzielać zbawienia ludziom.

Następnie konieczność ta odnosi się tylko do osób, które są w stanie spełniać akty kultu, jako używające w pełni władzy rozum. Przeto wyklucza się dzieci przed dojściem do używania rozumu i chorych umysłowo.

Oprócz tego trzeba pamiętać, że możemy coś nazwać koniecznym podwójnie: albo formalnie i wyraźnie, albo wirtualnie i domyślnie. Tak np. jeżeli ktoś bez własnej winy nie poznał N. Panny, ale gotów jest uczynić wszystko czego od niego Bóg żąda, chociaż formalnie i wyraźnie nie ma nabożeństwa do N. Panny, posiada je jednak wirtualnie i domyślnie. A to wystarczy do jego zbawienia. Natomiast jeżeli ktoś dorosły poznając wystarczająco N. Pannę pozytywnie wzbrania się lub choćby zaniedbuje przynajmniej pewien kult Jej oddawać, ten nie może być zbawiony. Przynajmniej bowiem pewien kult N. Panny w obecnej ekonomii zbawienia jest konieczny do osiągnięcia wiecznego zbawienia.

Prawda ta, pewna teologicznie (theologice certa) wynika logicznie z ogólnie przez teologów uznanej zasady powszechnego rozdawnictwa wszystkich łask przez N. Pannę.

Głoszą ją Następcy Chrystusa. Leon XIII pisze w Encyklice „Augustissimae Virginis". „Taka bowiem jest wielkość Marii, taką u Boga cieszy się łaską, że kto potrzebując pomocy nie uciekałby się do Niej, ten prabnąłby latać bez pomocy skrzydeł". Pius XII w swym Przemówieniu Radiowym do uczestników Narodowego Kongresu Maryjnego w Lujan (Argentyna), wygłoszonym dnia 12 października 1947 r. wyraźnie stwierdził, że nabożeństwo do N. Panny „stanowi element fundamentalny w życiu chrześcijańskim", gdyż wszyscy w niebezpieczeństwach i potrzebach doczesnego życia, potrzebują pomocy (A. A. S. 1947, str. 628).

Konieczność tę podkreśla kanon 1276 Kodeksu Prawa Kanonicznego: „Dobrą i pożyteczną jest rzeczą Sługi Boże... i ich relikwie oraz obrazy czcić; lecz przede wszystkim niech wszyscy wierni z synowskim nabożeństwem odnoszą się do Najśw. Dziewicy Marii".

Należy tu zauważyć, że gdy nabożeństwo do innych świętych jest zalecone, to nabożeństwo względem N. Panny jest nakazane (tak pisze Vermeersch w Epitome Iuris Canonici, t. 2, ed. 4, n. 601). Oczywistą bowiem jest różnica między świętymi a Marią, między czcią i wzywaniem świętych a czcią i wzywaniem Bogarodzicy. Ponieważ zaś cześć i wzywanie świętych wprost jako pożyteczne są polecone, „synowskie nabożeństwo" względem N. Panny wprost też jest nakazane i uznane jako konieczne w pewien sposób dla życia chrześcijańskiego do zbawienia wiecznego.

Myśl Kościoła odnośnie do konieczności synowskiego nabożeństwa względem N. Panny pokazuje się ze stosowanej przez Kościół praktyki liturgicznej. Nieustannie bowiem Kościół w swej liturgii ucieka się i zachęca wiernych do uciekania się ku N. Pannie, by otrzymać łaski konieczne do wiecznego zbawienia. Wystarczy przypomnieć sobie bardzo dawną modlitwę „Pod Twoją Obronę".

Kościół ponadto wkłada w usta N. Panny owe słowa Ks. Mądrości (8, 35 n.): „Kto mnie znajdzie znajdzie żywot i wyczerpie zbawienie od Pana; kto przeciw mnie zgrzeszy zrani duszę swoją. Wszyscy, którzy mnie nienawidzą śmierć miłują". Dlatego też nawet sam Oecolampadius, choć heretyk, jak powiada O. Crasset, twierdził, że znakiem pewnym potępienia jest nie mieć miłości dla N. Panny.

N. Panna stale jest pozdrawiana przez Kościół słowami: „życie, słodyczy i nadziejo nasza". Lecz w jaki sposób będzie miał żywot wieczny ten, którego nic nie obchodzi Ta, która jest „życiem" naszym? Jak może skosztować wiecznej słodkości ten, który w żaden sposób nie stara się skosztować Tej, która „słodyczą" naszą jest nazwana? —

W jaki sposób spodziewa się otrzymać nagrodę wieczną ten, który nic się nie troszczy o Marię, która „nadzieją“ naszą jest mianowana?

Ponadto N. Panna nazywana jest przez Kościół „Bramą Niebieską“. Przeto, jak niemożliwym jest wejść do pałacu temu, kto nie chce przejść przez drzwi, tak niemożliwym jest wejść do nieba temu, który przez N. Pannę jako bramę nie przeszedłby. Powiada pięknie o tym jeden z hymnów średniowiecznych:

Ille potest desperare	Łatwo w rozpacz popaść może,
Qui Te non vult invocare	Kto Cię Mario wzywać nie chce,
Tota enim nostra salus	Całe nasze wszak zbawienie
A Te sola progreditur	Z Ciebie jednej się wywodzi.

(Moné, Hymni latini, t. 2, str. 360).

Prawda o konieczności uciekania się do N. Panny zawiera się i w Piśmie św. W tzw. Protoewangelii (Ks. Rodzaju 3, 15) widzimy, że środkiem sprowadzenia ludzi z powrotem do Boga a przeto i do wiecznego zbawienia (od którego przez grzech oddaleni byli) jest według planu Bożego, Niewiasta (czyli N. Panna) a zarazem Jej nasienie (czyli Chrystus). Odłączać nasienie, czyli Chrystusa od Niewiasty, czyli od N. Panny w wierze i kulcie, jest tym samym co przewracać plan Boży, czyli porządek przez samego Boga ustanowiony, sprowadzenie ludzi do wiecznego zbawienia, a zarazem jest tym samym co stawianie się poza drogą od Boga postanowioną, która jedynie prowadzi do żywota wiecznego. Oczywistym jest więc, że Protoewangelium domyślnie zawiera prawdę o konieczności nabożeństwa do N. Panny.

Jak zauważa Billot (De Verbo Incarnato, Inc. th. 39) w religii chrześcijańskiej N. Panna stanowi z Woli Bożej element istotny. Stąd nabożeństwo ku Niej jest istotną cechą Kościoła Powszechnego, założonego przez Chrystusa; gdzie go nie ma tam napewno nie ma Kościoła prawdziwego.

Stary Testament oprócz Protoewangelium na wielu jeszcze innych miejscach świadczy o konieczności nabożeństwa do N. Panny.

Najpierw przez swe rozliczne symbole odnoszące się do N. Panny. Wśród nich najważniejsze to Arka i drabina Jakubowa (Ks. Rodz., 28, 12, 13). Jak nikt poza przebywającymi w arce w czasie potopu nie został ocalony, tak nikt się nie zbawi bez N. Panny. Ona jest drabiną po której ludzie powinni wstępować do nieba.

W Nowym Testamencie znajdujemy rozstrzygającą odpowiedź odnośnie do naszej kwestii. Wszyscy wybrani do chwały wiecznej, według św. Pawła, powinni upodobnić się do Chrystusa, którego Imię, jak czytamy w Apokalipsie, na czołach mają wyryte. „Których przejrzał, tych też przeznaczył, by się stali podobni obrazowi Syna Jego, aby On był pierworodnym wśród wielu braci“ (Rzym., 8, 29). Jezus bowiem

jest Synem Bożym przez swą naturę, my zaś przez łaskę. Do tego zaś, by ludzie stali się podobni Chrystusowi, a stąd przeznaczeni do zbawienia, winni naśladować nie tylko miłość Jego ku Ojcu Niebieskiemu. ale również Jego miłość ku Matce Najśw.

Zaznaczyć jednak trzeba, że dowody przytoczone z Pisma św. Starego i Nowego Testamentu nie są, jak widzimy wprost, ale tylko ubocznie świadczące o naszej prawdzie.

W Tradycji Kościoła znajdziemy również wiele wypowiedzi Ojców. Doktorów i Pisarzy Kościelnych o konieczności nabożeństwa do N. Panny. Z Ojców Kościoła Wschodniego św. Cyryl Aleksandryjski (zm. 444) twierdzi, iż przez N. Pannę każda wierna dusza znajduje zbawienie (PG. 76, 1031—1034). Św. German Konstantynopolitański (zm. 740) między innymi pisze: „Nikt nie jest ocalony jak tylko przez Ciebie, o Bogarodzico; nikt z niebezpieczeństw nie wyrwany, jak tylko przez Ciebie, Dziewico Rodzicielko... nikt daru miłosierdzia nie dostąpi, jak tylko przez Ciebie“ (Or. II in Dormit. B. V. 98, 350). Św. Jan Damasceński (zm. 754) powiada, że kult N. Panny powinien być droższy naszemu sercu niż samo oddychanie, gdyż równa się życiu. Szczęśliwymi zowie wiernych, którzy ufność swą pokładają w N. Pannie, która jest prawdziwą kotwicą naszego zbawienia (PG. 96, 719).

W Zachodnim Kościele św. Ildefons (zm. 669) zachęca wiernych. aby się chronili pod płaszcz potęgi N. Panny, by nie byli znalezieni w ostatni dzień w szacie zawstydzenia (PL. 96, 69).

Św. Grzegorz VII (zm. 1085) w liście do Matyldy wymienia dwa środki, dzięki którym dochodzi się do zbawienia: „częste przyjmowanie N. Sakramentu i ufne nabożeństwo do N. Dziewicy“ (t. 10, Concil. P. Labb., 1. I, str. 47). Eadmer kantuaryjski (zm. 1109) twierdzi, że jeśli chcemy przybyć do portu zbawienia, winniśmy czcić Dziewicę Niepokalaną, i że opieka N. Dziewicy codziennie nam jest konieczna, oraz iż z konieczności zginie ten, kto od Niej się oddalił (De Concept. B. M). Ryszard od św. Wawrzyńca (1150) powiada: „Musisz służyć Bogurodzicielce dopóki żyjesz, jeśli chcesz po śmierci żyć“ (De laud. B. M. V. 1. 2). Św. Bernard (zm. 1153) głosi, że jeśli N. Panna okaże się nam łaskawą, z pewnością dojdziemy do portu wiecznego zbawienia (PL. 183, 43). Adam opat z Persenii (zm. 1243) twierdzi, że niebezpiecznym jest żyć odłączonym od N. Dziewicy, której oddane zostały wszystkie skarby zbawienia (Fragm. Mariana, fragm. 7, 221, 754). Autor „Biblia Mariana“; przypisywanej św. Albertowi W. również twierdzi, że wykluczonym jest, aby się zbawił ten, który nie wzywa N. Panny. Św. Bonawentura (zm. 1274) pisze: Maria nazywana jest Bramą Niebieską gdyż „nikt nie może wejść do nieba, jeśli nie przejdzie przez Marię jako bramę“ (Comment. in Luc. c. I, n. 70, Op. 7, 27 ab). „Jako bowiem przez Nią Bóg do nas zstąpił tak trzeba, abyśmy i my przez Nią wstępowali do Pana“

(Serm. IV de Nativ. B. M. V. Op. 9, 712 b). Św. Bernardyn Seneński (zm. 1444): „N. Panna jest drabiną Jakubową, której wierzchołek nieba dotyka, a tym samym doń prowadzi, po niej to wstępują ludzie święci dla otrzymania chwały niebieskiej" (Sermones pro festivit. B. M. V. Sermo I, a. 3, c. 3). O. Contenson O. P. (zm. 1674) głosił, iż nie kocha siebie samego ten, kto nie kocha N. Panny, ponieważ wszystkie dary przez Nią zstępują na nas (Theol. mentis et cordis 1. 10, diss. 6, spec. I. refl.). Św. Ludwik Grignon de Monfort (1673—1716) wyraźnie naucza, że nabożeństwo do N. Panny jest hypotetycznie koniecznym do zbawienia („O Prawdziwym Nab." w wielu miejscach). Św. Leonard a Porto Maurizio (1676—1751) zawsze powtarzał: „Niemożliwym jest, by się zbawił, kto nie jest czcicielem Marii" (Discorsetti ad onore di Maria disc. 7, n. I). „Tak ważnym jest być czcicielem Marii, jak ważnym jest wejść do nieba, gdyż nie wejdzie do nieba ten, kto nie jest czcicielem Marii (Disc. 5, n. 3). Św. Alfons M. Liguori (zm. 1787) twierdził, że nabożeństwo do N. Panny jest moralnie koniecznym do zbawienia. „Dlatego, jak powiada, należy źle wróżyć o takim, kto stale jest zdala od tego nabożeństwa" (App. ad Selva pred.).

Po nauczaniu Kościoła, Piśmie św. i Tradycji dowodzi nam konieczności nabożeństwa do N. Panny sam rozum.

Pierwszą racją jest Macierzyństwo Boże Marii. Do zbawienia wiecznego jest koniecznym bezwzględnie akt wiary w Słowo Wcielone. Akt taki z konieczności musi się łączyć z aktem wiary w Tę, z której Słowo przyjęło ciało, czyli w Matkę Boga. Dlatego to od czasów apostolskich żądano zawsze od katechumenów przed Chrztem św. wyraźnego aktu wiary „w Jezusa Chrystusa narodzonego z Marii Dziewicy". Akt wiary w Słowo Wcielone, a więc i Matkę Słowa, musi być, według nauczania Kościoła i powszechnej opinii teologów, powtarzany w ciągu życia. — Wzbudzenie jednak takiego aktu jest zarazem aktem kultu, gdyż jest hołdem umysłu oddawanym wierze: Przeto każdy człowiek, by być zbawionym powinien przynajmniej od czasu do czasu dopełniać owego aktu kultu Słowa Wcielonego i Jego Matki.

Następnie N. Panna, jak nas poucza Kościół, jest Matką ludzi, i to nie w sensie przenośnym, ale rzeczywistym, choć duchowym i nadprzyrodzonym. Dzieci zaś względem matki obowiązane są w sumieniu okazywać jej cześć i szacunek. Więc i względem N. Panny każdy ochrzczony obowiązany jest czynić to samo.

Po trzecie N. Panna jest Pośredniczką między Bogiem a ludźmi. Pośrednictwo Marii wypływa z dwóch tytułów, jako Współodkupicielki, która razem z Chrystusem wysłużyła i nabyła wszystkie łaski, i jako Szafarki wszystkich łask, gdyż Maria współdziała w udzielaniu każdej łaski, jaką tylko ludzie otrzymują.

Za współodkupienie ma N. Panna prawo do wdzięczności ludzi za to wszystko co za nich uczyniła i wycierpiała. Jako zaś Szafarka wszystkich łask, zwłaszcza tych, które są niezbędne do zbawienia, rozdaje je na drodze ustanowionej przez Boga, a jest nią modlitwa. Stąd wypływa, że kult wzywania N. Panny, w obecnym porządku ustanowionym przez Boga, który chciał wszystkie łaski konieczne nam do zbawienia udzielić przez Marię, że kult taki jest konieczny do osiągnięcia łask, a zwłaszcza otrzymania wielkiego daru wytrwania.

Warto jeszcze jedną myśl na zakończenie dorzucić. Żadna prawda nie jest tak w praktyce przez wiernych stosowana jak właśnie kult N. Panny. Ludzie wprost wyczuwają konieczność nabożeństwa do N. Panny i dlatego z takim zaufaniem synowskim do Niej się uciekają. Matka Najśw., jak powiada św. Jan Vianney, będzie miała spokój chyba dopiero po końcu świata, gdy wszystkich, co chcieli być Jej dziećmi doprowadzi do „pełni wieku Chrystusowego". Jest to prawda o ile chodzi o pomoc w niebezpieczeństwach, ponieważ już ona nie będzie potrzebna. Nigdy jednak N. Panna nie przestanie być Matką wybranych i udzielać im łask, ani ci, co chcieli być Jej dziećmi nie przestaną otaczać Niepokalaną Dziewicę kultem uwielbienia, czci, miłości i dziękczynienia.

Plany Boże są niepojęte w swym ogromie co do życia miliardów stworzeń powołanych przezeń do istnienia na wieki. Chybia tu nawet miara najdłuższych okresów czasu, jakie zna umysł ludzki. Astronomia współczesna wie w przybliżeniu o wieku gwiazd i wszechświatów. Przyjmuje dziesiątki i setki bilionów lat istnienia jeszcze nadal ciał niebieskich. Jezus jednak powiedział: „niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą" — wieczność z Bogiem i Marią końca mieć nie będzie, nie będzie też miał nigdy końca kult N. Dziewicy, zaczęty tu na naszej ziemi. Jak w doczesności, tak i w wieczności Błogosławioną zwać Ją będziemy, gdyż uczynił Jej wielkie rzeczy, który możny jest Ojciec, Syn i Duch Św.

Ojciec Jakub od Jezusa[1])

Karmelita Bosy
(1900—1945)

Sprawiedliwość wymaga, aby nie gubić w zapomnieniu pięknych postaci lecz pokazywać je współczesnym i potomności. Toteż słusznie czynimy, gdy wspominamy tych, którzy wśród gromów i spustoszeń ostatnich dziesięciu lat nie załamali się, lecz przeciwnie, wykazali męstwo. Do takich należą bohaterscy obrońcy twierdz, odważni lotnicy i nieustraszeni marynarze.

Takim bohaterem, nie z bronią w ręku, ale bohaterem miłości i poświęcenia, był ostatnimi laty syn ludu francuskiego, Lucjan Bunel, karmelita.

Urodzony w miasteczku Barentin, niedaleko Rouen, w Normandii, od dzieciństwa zaznał biedy i nędzy. — Ojciec jego, robotnik w przędzalni, ciężko zarabiał na utrzymanie licznej, zwłaszcza jak na stosunki francuskie, rodziny, składającej się z 8-ga dzieci. Praca musiała być uciążliwa, chyba ponad siły, bo zmarł nagle w sile wieku, pozostawiając wdowę w trudnym położeniu.

Lucjan od dzieciństwa przywykł do pracy. W domu panowała karność, ład i porządek, ubogo było, ale schludnie i czysto. Szczera i prawdziwa miłość łączyła członków rodziny silną więzią. Mały Lucjan wyróżniał się wśród rodzeństwa pobożnością i miłym usposobieniem; z natury był żywy, lubił figle, uczył się doskonale, w klasie zajmował stale pierwsze miejsca. Równocześnie czuje on pociąg do modlitwy. Gdy ma lat 12, oznajmia rodzicom, że chce zostać księdzem, ale ubóstwo stoi na przeszkodzie. Z trudem, oszczędzając, od ust sobie prawie odejmując, z pomocą dobrych ludzi, rodzice kształcą chłopaka. Bo jakże tu Bogu odmówić, kiedy On woła, zaszczyca rodzinę swoim wybraństwem?

W szkołach Lucjan zarysowuje się jako indywidualność nieprzeciętna. Umysł jego bystry, ruchliwy; wola silna, wytrwała. Natura bogata, bujna, pełna inicjatywy, pomysłów, życia i humoru. Ale charakter trudny, oporny, zarozumiały; chłopiec potrafi się stawiać, być zuchwały. Oczy błyszczą dowcipem, lubi drwić, wykpić, żartować; ma wrodzoną żyłkę galicką. Zmysł krytyczny czyni go nieraz utrapionym. Logiczna głowa, zamiłowanie do lektury, zdecydowanie, zapowiadają jednostkę wybitną. Jeden z profesorów wyraził się o nim, że „w tym chłopcu jest materiał na łotra lub na świętego". Lucjan zna swoje wady, robi ogromne wysiłki woli, by się opanować, przerobić. Jego szczera pobożność jest mu pomocą. Łaska wybitnie działa w szlachetnej i prawej duszy Przełożeni to widzą, oceniają pracę, jaka się dokonywa i przynosi owoce powolne, lecz stale.

Mimo swych przywar, ma szczęście do ludzi, przy tym wielką żarliwość apostolską, w czym umiejętność współżycia z drugimi jest mu wielkim ułatwieniem.

W seminarium wyróżnia się postawą skupioną, poważną, rozmodloną; buduje swych towarzyszy, zastanawia zwierzchników. Wesołość jego i werwa wszakże tryskają na rekreacjach i udzielają się otoczeniu. — Miłość dla dusz płynie z jego żarli-

[1]) Le Père Jacques martyr de la charité. P. Philippe de la Trinite. Les Etudes carmèlitaines. Desclée 1947.

wej miłości do Boga. Kochał dusze, by wzbudzić w nich miłość Bożą. To rysem znamiennym jego żywota. Mówiono o jego „nadprzyrodzonym działaniu promieniotwórczym", rozchodzącym się wokoło.

Trzeba było wszakże przerwać nauki seminaryjne dla służby wojskowej. W koszarach duch apostolski go nie opuszcza, przeciwnie, szuka nowych terenów i rozprzestrzenia się. Żadne uboczne wpływy, ani ujemne przykłady nie są w stanie odwrócić go od raz wytkniętego celu. Dąży doń z jednolitą całkowitością charakteru, a tymczasem „służąc wiernie ojczyźnie, służy Bogu", i spełnia ochoczo swój obowiązek żołnierski i obywatelski.

Wróciwszy do seminarium, z zapałem uczy się nadal i gotuje się z przejęciem do stanu kapłańskiego. Nauki idą mu łatwo, bez trudu. — Wybitne jego zdolności i niepospolita inteligencja ułatwiają mu przyswajanie sobie wiedzy, a wyrobiony sąd o rzeczach daje mu rozeznanie i trafną ocenę spraw, ludzi i wypadków.

Od pierwszej młodości nurtuje go pragnienie „poświęcenia się na usługi braci dla miłości Bożej". Marzy o tym, by zostać zakonnikiem w jakim ostrym zakonie, „by móc wypłacać się za drugich". Przyświeca mu z dala ideał męczeństwa, ideał później w pełni zrealizowany...

Pracę pedagogiczną rozpoczął jako wychowawca w zakładzie św. Józefa dla chłopców w le Havre, i ujawnił niezwykłe zdolności w tym kierunku. Z jednej strony, to mistyk, modlący się żarliwie przed Najśw. Sakramentem; mówił nieraz, że te „godziny spędzone w cztery oczy z Bogiem, były to najlepsze dla niego chwile dnia"; z drugiej strony — urodzony pedagog, świetny organizator, praktyczny, życiowy, gospodarny.

Siłą wpływu oddziaływuje na młodzież; chłopcy pod jego mądrym, dobroczynnym działaniem zmieniali się do niepoznania. Pociąga za sobą wychowanków, którzy gotowi byli pójść za każdym jego skinieniem. Choć początkowo mógł razić pewnym despotyzmem, śmiałością wypowiedzi, sądem zbyt pochopnym, cechy te wypływały z bujności jego temperamentu i z czasem ulegały coraz większemu złagodzeniu.

Skromny, umartwiony, a nawet surowy dla siebie, umiał drugim okazać serce i zainteresowanie; postawa pełna powagi i opanowania, zjednywała zaufanie, cześć i szacunek. Lekcje prowadził żywo, interesująco, trzymając słuchaczy w ciągłym napięciu, pobudzając ciekawość i uwagę. Uczni dopuszczał swobodnie do głosu, umiał rozbudzić zamiłowanie do nauki, do której sam był zapalony.

Ze względu na wybitny jego dar słowa i umiejętność oddziaływania na słuchaczy, zapraszano go na konferencje, nauki, kazania, rekolekcje. Był nieraz tak rozrywany, że nie mógł sprostać wszystkim obowiązkom. By zyskać na czasie, używał często komunikacji samochodowej, a nawet lotniczej. Umiał wstrząsać sumieniami, uderzać mocnym, trafnie wycelowanym słowem w sedno rzeczy.

Wstawał o świcie, by się modlić, gdyż dusza jego łaknęła osobistego zetknięcia ze swym Stwórcą i Panem. Dążenie do świętości było u niego zawsze na pierwszym planie.

Był uwielbiany przez gromadkę chłopców, cieszył się ich zaufaniem, brał żywy udział w ich wycieczkach i zabawach. Oni z zachwytem nazywali go swym „morowym kapelanem". Jego wesołość, pogoda, zapał życiowy, równość usposobienia, torowały mu drogę do serc młodocianych. Choć współżył z młodzieżą kochał ją, nie dopuszczał nigdy do spoufalenia i umiał zachować dystans i rezerwę.

Młodzież znajdowała w nim żarliwego poplecznika. Poza tym wiele czasu pochłaniały przysługi oddawane konfratrom, zastępstwa różnych

kapłanów, którym nigdy nie odmawiał pomocy w potrzebie. Poświęcenie zużywało przedwcześnie jego siły. Dwoił się i troił, by móc podołać, z uszczerbkiem dla snu i zdrowia.

A jednak w tym tak aktywnym działaczu tkwił równocześnie duch kontemplacyjny. Od młodości tęsknił za życiem zakonnym zamkniętym, odosobnionym od świata. Próbował zapoznać się z Trapistami i na miesiąc zamknął się w ich klasztorze. Zetknął się w Lisieux i le Havre z karmelitankami i to go zwróciło na dobre w stronę Karmelu. Życie modlitwy i ofiary pociągało go nieprzeparcie, mimo tak czynnego usposobienia i rozległej działalności, jaką roztaczał. Lecz on czuł, że w Karmelu będzie mógł nieść Boga duszom, tego Boga, w którym ma się zanurzyć cała jego istota, na to, by uczyć drugich, jak Go poznać i ukochać prawdziwie.

Wierzył, że w zakonie znajdzie środek do zmiażdżenia swej wrodzonej, nieodłącznej od człowieka, pychy, i do skrępowania ducha niezależności, który w sobie dostrzegał.

Przeżył długą epokę walk i niepewności, wahania i udręki, wreszcie decyzja zapadła: wstąpił do Karmelu. Przedtem musiał jeszcze zwalczyć opór biskupa z Rouen, który bolał nad stratą tak cennej dla jego diecezji jednostki.

Gdy ustąpiły wreszcie wszystkie zapory, Lucjan stanął u przystani. W Karmelu czuł się szczęśliwy, na miejscu swego przeznaczenia. W roku 1931 przywdział habit zakonny i stanął w szeregu nowicjuszów.

Wstępując do klasztoru, złożył Bogu ofiarę z pracy pedagogicznej, która była jego ukochaniem, w którą włożył tyle poświęcenia, oddania, do której czuł pociąg i talent nieprzeciętny. Kosztowało go to wiele, i jak sam pisał w liście: „...nieraz zatykam sobie uszy, by nie słyszeć z daleka głosów dziecięcych!“ — Sądził, że to przywiązanie do młodzieży jest zbyt ludzkie i przyrodzone, więc modlił się za nią i prosił Boga, by Sam zerwał w nim te ostatnie nici wiążące go z ziemią.

Otrzymawszy imię zakonne O. Jakuba od Jezusa, szlachetnie wyrzekł się drogiej sobie pracy. Bóg przyjął ofiarę i sowicie ją wynagrodził, gdyż w parę lat po wstąpieniu otrzymał od swych przełożonych polecenie założenia małego seminarium dla chłopców, pod wezwaniem św. Teresy od Dzieciątka Jezus, w Avon, niedaleko Fontainebleau pod Paryżem.

W zasadzie OO. Karmelici, jako zakonnicy kontemplacyjni, nie zajmują się wychowaniem, ani prowadzeniem szkół. Nie wchodzi to bynajmniej w zakres ich działalności. Przewidziana jest wszakże możliwość kierowania zakładami wychowawczymi, mającymi na celu urabianie w duchu karmelitańskim młodzieży, chcącej poświęcić się Bogu w zakonie.

W Avon otrzyma wszakże pozwolenie od wyższych przełożonych na przyjmowanie do zakładu także i chłopców nie mających zamiaru poświęcić się służbie ołtarza. Było to odchylenie od prawa ogólnie przyjętego w zakonie, i szkoła miała być uruchomiona tytułem próby.

Po złożeniu więc ślubów zakonnych w Lille w 1932 roku, O. Jakub otrzymał nominację na dyrektora gimnazjum w Avon. Miał tu rozległe pole do wykazania swych różnorodnych, a tak wybitnych zdolności. Okazał się twórcą i nowatorem, aż do zadziwienia konserwatywnych na ogół Francuzów. Szerokie było pole do działania dla jego gorliwości apostolskiej, która nabrała nowego rozpędu i żaru w zetknięciu z duszami młodzieży. Duch modlitwy, duch skupienia, miłości Bożej i apostolstwa rozlewał się na całe jego życie i przenikał jego prace i uczynki. Ten niestrudzony pracownik na niwie Pańskiej potrzebował zanurzyć się w atmosferze czysto nadprzyrodzonej, by czerpać z niej obficie i zasilać duchowym

pokarmem zewnętrzne swe czynności. Sam wyznawał zaufanym, że doznał na sobie tajemniczych skutków bliskiego zetknięcia z Bogiem.

Tak wzmocniony od wewnątrz żywiołem Boskim i napełniony niebiańską mądrością, mógł odważnie oddać się swej misji wychowawczej i w nowy zakład wlać ducha.

Przede wszystkim usiłował uczynić zeń przybytek radości i wesela otoczyć młodzież dobrocią, pięknem i pokojem. Sam też czuwał nad organizacją strony zewnętrznej zakładu, wchodził w każdy szczegół, nie pomijał żadnego drobiazgu codziennego życia.

Zajmuje się stroną naukową i wychowawczą, kieruje gronem profesorskim, opiekuje się służbą, personelem, ma oko nad gospodarstwem, stara się o aprowizację. Dziwnie zna się na wszystkim, umie doradzić, zarządzić, pokierować. Zdaje się być fachowcem na każdym odcinku pracy. Dba o organizację sportów i gier dla chłopców, chwiliwo nawet sam prowadzi chóry. Ta różnorodność umiejętności zdumiewa niejednego: gdzie jeden człowiek mógł się wyspecjalizować w tylu kierunkach? Czy też jakaś intuicja nim kieruje?

Jest pochłonięty pracą od rana do wieczora, ale zawsze uśmiech pogodny i życzliwy rozjaśnia jego oblicze, zawsze gotów pomóc każdemu, usłużyć, ułatwić. Śpi zaledwie kilka godzin, gdyż dzień dla niego za krótki; pracuje w późną noc, by wydołać zadaniu.

Wychowankom oddaje się bez reszty, nie oglądając się na siebie. Wiedział, że chcąc zdobyć zaufanie młodzieży, trzeba się nią zainteresować, wżyć się w jej przeżycia, brać udział w tym, co ją zajmuje. Toteż młodzież darzyła go bezgranicznym zaufaniem, ceniąc okazywane jej serce, szanując jego sprawiedliwość i zmysł spostrzegawczy.

Dyrektor umiał jednak być surowym; dostrzegał szybko wykroczenia, braki, i natychmiast energicznie im przeciwdziałał; unikał wszakże sankcji i kar, których wpływ jest raczej zastraszający, niż wychowawczy i przetwarzający, i sięga na krótszą tylko metę. Autorytet jego był niezachwiany. Chłopcy, choć go kochali, otaczali go szacunkiem i poważaniem; żaden nie śmiał przeciwstawić się jego rozkazom.

Wrażliwy na piękno, nosił w sobie duszę artysty, zdolnego do uniesień, odczuwającego poezję; każdy wznioślejszy ideał znajdował w nim żywe echo, co nie przeszkadzało, że potrafił się zniżyć do realności życia; był przewidujący, działał we wszystkim planowo i konsekwentnie, a z energią dążył do urzeczywistnienia swoich zamiarów.

Wychowanków swoich uczył współżycia z Kościołem, odkrywał im tajniki liturgii i wskazywał na sposób korzystania z jej skarbów, aby nią zasilać własną pobożność i przeżywać w ciągu roku tajemnice wiary. Tłumaczył Ewangelię, a w kaplicy odprawiał nieraz głośne, płomienne dziękczynienie po Komunii św. Żywa jego wiara ujawniała się wtedy, a gorącość jego ducha udzielała się otoczeniu. W sprawach tyczących się religii nie wywierał nigdy nacisku, pozostawiając jak największą swobodę i wolność dla rozwoju indywidualnego. Nie nalegał, by chłopcy uczęszczali na Mszę św. w tygodniu, co w zakładzie było dowolnym.

Nie miał właściwie specjalnej metody wychowawczej, ale posiadał wrodzony dar pedagogiczny, wyczucie intuicyjne duszy młodzieńczej. Chwyty jego znakomite i skuteczne, zawsze były zastosowane do odpowiedniej chwili i do danej jednostki.

Jako profesor, będąc entuzjastą, umiał wzbudzić zapał do nauki, zwłaszcza do literatury pięknej. — Twierdził, że kto nie potrafi wzbudzić zainteresowań w uczniach, nie powinien trudnić się belferką. — Z równym powodzeniem uczył francuskiego, łaciny i greki, a czytając w klasie arcydzieła literackie, uwydatniał pedagogiczne walory utworu, poruszał kwestię życiowe, spo-

łeczne, moralne i naukowe, co wywoływało zapał i ożywione dyskusje. Kładł wielki nacisk u młodzieży na ważną umiejętność rozróżniania w życiu dobra od zła, czyli wyrobienie uczciwego, jasnego sumienia, na rozwijanie w niej poczucia odpowiedzialności, na sumienność w spełnianiu obowiązków, na zahartowanie woli. Pragnął widzieć ją rozmiłowaną we wszystkim co szlachetne, prawe, podniosłe, a szkołę uczynić przybytkiem radości i cnoty.

W czasie wakacji nie zrywał kontaktu z młodzieżą, ale przez korespondencję utrzymywał uczniów w atmosferze zasad zaczerpniętych w zakładzie, wspierał ją w trudnościach i trzymał w zasięgu swego dobroczynnego wpływu.

Gdy wybuchła wojna w 1939 r., zakład św. Teresy od Dz. Jezus został z konieczności zamieniony na szpital, a O. Jakub zaciągnięty do wojska. Jednak wewnętrzną siłą swej indywidualności promieniował nadal na swe otoczenie. Jego współtowarzysze, zwierzchnicy i podwładni, podziwiali go, i z uznaniem odnosili się do jego niezwykłych zalet.

W lecie 1940 roku, po rozbiciu wojsk francuskich, oddział jego został otoczony w lesie, a on sam wraz z innymi dostał się do niewoli niemieckiej. Osadzono go w Luneville, ale jako kapelan obozowy uniknął wywiezienia w głąb Niemiec.

Podtrzymywał moralnie współwięźniów, organizował dla nich bibliotekę. Łączył się, na razie tylko w duchu, z Ruchem Oporu, czekając lepszej chwili, by móc aktywnie z nim współdziałać. Niejednokrotnie przemawiał do zebranych więźniów, a ponieważ władze więzienne żądały tekstu przemówienia dla cenzury, O. Jakub wysyłał im swoją notatkę, ale bynajmniej nie trzymał się zatwierdzonych słów, lecz improwizował, mówiąc do słuchaczy, i szedł za własnym natchnieniem.

Po półrocznym pobycie w obozie, uwolniony z hitlerowskich szponów, wrócił do swego zakładu w Avon i oddał się znów z zapałem swej umiłowanej misji wychowawczej. Po przebytych doświadczeniach duch jego pogłębił się jeszcze bardziej, nabrał dojrzałości i mocy. Miłość Chrystusa przenikała go na wskroś, przeświecała poprzez jego czyny, jak światło ukryte pod kloszem. Świętość jego osobista była źródłem jego wpływu.

Liczne świadectwa zebrane wśród jego uczniów są wymownym dowodem tego, jak silnie ów wychowawca oddziaływał na swe środowisko.

Przemawiał do chłopców łagodnie, powoli, z wielkim spokojem. Nawet, gdy ganił, głosu nie podnosił. Odczuwało się wielkie opanowanie siebie i to dawało moc jego słowom. Grał na sercach swoich słuchaczy, jak na powolnych sobie narzędziach.

O. Jakub czuł się w obowiązku przygotować młodzieńców do ich przyszłej roli ojcowskiej. Wskazywał im na piękno zawarte w ludzkiej miłości, zachęcał do zakładania licznej rodziny, a czynił to w sposób delikatny, zdrowy i pociągający, z punktu widzenia nadprzyrodzonego. Przedstawiał chłopcom, że Bóg wielkim zaszczytem darzy człowieka, dając mu możność przekazywania życia i uczył jak winni się do tego odnosić.

Jeden z jego uczniów tak pisze: „O. Jakubowi zawdzięczam, że mi objawił Boga, nauczył mnie, czym jest życie, czym jest miłość prawdziwa".

Nie zakrywał przed oczyma młodych ciemnych stron życia ludzkiego, chcąc ich ustrzec przed jego niebezpieczeństwami. Wyjaśniał im jasno i prosto prawdy realne, życiowe. Twierdził zazwyczaj, że uświadomienie seksualne powinno nastąpić możliwie najwcześniej; do niego w pierwszym rzędzie obowiązani są rodzice, chodzi bowiem o to, by uchronić dziecko od niezdrowej ciekawości i ustrzec jego czystość i niewinność. Od tego często zależą dalsze koleje jego w przyszłości.

Dbał nie tylko o rozwój moralny powierzonej sobie młodzieży, ale i o jej kulturę umysłową, artystyczną i naukową. Sam znawca i wielbiciel sztuk pięknych, rozwijał w uczniach zamiłowanie do piękna w każdej postaci. Organizował w tym celu częste wycieczki do Paryża, chcąc, by korzystać mogli z teatrów i koncertów, by odwiedzali muzea, wszelkie zabytki i osobliwości miasta. Potem w zakładzie toczyły się na ten temat ożywione dyskusje. Umysły były zajęte, nie było czasu i miejsca na próżne i szkodliwe rozmowy.

Dyrektor wierzył w uszlachetniający wpływ piękna na życie; ozdabiał więc klasy, sale i korytarze artystycznymi reprodukcjami; miały one służyć do rozwinięcia dobrego smaku i działać kształcąco. Sądził również, że muzyka i śpiew są ważnym czynnikiem pedagogicznym i oddziaływują dodatnio na pobożność.

Jego poglądy społeczne, wpajały w młodzież poszanowanie dla pracy i pracowników, przedstawiały jej konieczność sprawiedliwości między ludźmi, uczyły potępienia krzywd i wyzysku. Ojciec wdrażał w umysły chłopców głęboką zasadę miłości chrześcijańskiej, usłużności i miłosierdzia, zwłaszcza dla wydziedziczonych i najbardziej upośledzonych. Słowa jego nie były pustym frazesem, „cymbałem brzmiącym i miedzią brzęczącą". Przykładem swoim zatwierdzał prawdę słów, aż w końcu dla spełnienia owej miłości bliźniego do ostatka, „życie swe położył za braci".

Przy obowiązkach w zakładzie miał jeszcze czas dawać rekolekcje po różnych klasztorach, zwłaszcza karmelitanek. W tych płomiennych konferencjach, mimo jego woli ujawniała się głębia jego gorącej duszy, rozmiłowanej w Bogu. Dobywały się z niej tony, świadczące o wysokim nastroju jego wewnętrznym; zdradzał się prawdziwy mistyk, przepojony duchem św. Teresy z Awilli i św. Jana od Krzyża. Do karmelitanek w le Havre mówił: „Trzeba Boga tak kochać, żeby nasza miłość, padając na zasłonę, która nam Go zakrywa na tej ziemi, rozchyliła ją, a wtedy jasne promienie światła Bożego, rozświetlając duszę naszą, strawią ją w płomieniach miłości". Dowodził też, że, gdy kto chroni się do Karmelu, to dlatego, że „jest spragniony Boga, gdyż chce Go znaleźć i pokazać całemu światu".

Z głębokim zrozumieniem ducha swego zakonu mówił o samotności i milczeniu, nazywając je „klimatem właściwym duszy karmelitańskiej".

O. Jakub był też znakomitym kierownikiem dusz dążących do doskonałości. Cechowała go wielka roztropność i trafność sądu. Rady jego tchnęły umiarem i rozwagą, co zdawało się sprzeczne z jego żywym i impulsywnym usposobieniem, ale dowodziło wielkiego wyrobienia i dojrzałości. Umiał wyczuć potrzeby dusz, ich przeżycia i cierpienia. Jako wielbiciel św. Teresy od Dzieciątka Jezus zachęcał zawsze do dziecięcej ufności, odwagi i spokoju. „Bóg jest Bogiem pokoju — mówił — to, co nosi na sobie cechę niepokoju, zamącenia, rozpaczy, pochodzi od szatana". Szczególnie podniośle wyrażał się o miłości Bożej, określając ją jako „skłonność do dawania siebie". Sam też wydawał się bez ograniczeń, bez miary, dając siebie drugim i siejąc miłość wokoło siebie pełnymi rękoma.

W ostatnich latach swego życia wyraźnie wzrastał w świętości, co uderzało jego najbliższe otoczenie. W młodości swojej, mimo tak wybitnych zalet i cnót, miał wyraźne wady: pewną kanciatość, nieopanowanie, trafiały się niekiedy wybuchy temperamentu. Przeżycia wojenne wpłynęły dodatnio na jego usposobienie; złagodniał, stał się wyrozumiały, i pokorny. Uznawał swoje winy i ze skruchą za nie przepraszał. Sprawy doczesne coraz bardziej malały w jego oczach Bóg

i dusze, to były jedyne przedmioty jego trosk i zachodów.

Lata okupacji niemieckiej komplikowały coraz bardziej życie. W zakładzie w Avon praca toczyła się na pozór normalnym torem, ale żmudna i ciężka, w warunkach materialnych coraz uciążliwszych, a zarazem w atmosferze deprymującej. O. Jakub wszakże nie traci animuszu ni nadziei, podtrzymuje innych na duchu, walczy nieugięcie z trudnościami. Młodzież, mimo wszystko ciśnie się do zakładu tak tłumnie, że dyrektor ustanawia egzaminy konkursowe przy przyjmowaniu nowych kandydatów do szkoły.

Jako patriota i wierny syn ojczyzny cierpiał nad klęską Francji, nad jej shańbieniem i uciskiem w bolesnych latach okupacji. Chce jednak rozbudzić u młodych zapał do przyszłości, nie żałując tego, co minęło, gdyż „żalami nic się nie zbuduje", pisze w liście (w 1942 r.) a swym chłopcom chce przedstawić nowy ideał „wyrzeczenia się siebie, czystości, prawości, zapalić ją do szlachetnych radości, jakie daje spełniony obowiązek, choćby on zażądał ofiary z życia".

Zakład więc w Avon staje się czynnym ogniskiem Ruchu Oporu, schroniskiem dla żywiołów patriotycznych, dla komunistów, żydów, uciekinierów, działaczy narodowych, ściganych przez hitlerowców i prześladowanych. Ojciec wspomaga i ugaszcza więźniów puszczonych na wolność; gdzie może, podaje dłoń miłosierną, wspiera, podnosi na duchu, zasila materialnie. Zawsze jest gotów usłużyć, podtrzymać, pocieszyć. Nie cofa się przed żadną akcją, która się nadarza.

Działał jednak roztropnie i ostrożnie, by nie kompromitować zakładu, za który odpowiadał. Nie pozwalał nigdy na przechowywanie broni, ale gdy chodziło o ratowanie życia ludzkiego, nie pomijał żadnych wysiłków, nie unikał nawet kroku ryzykownego, choć przewidywał możliwe konsekwencje swego czynu, nie zawahał się spełnić go, gdyż pojął nakaz swego sumienia.

Wśród innych zbiegów Ojciec przyjął do internatu trzech uczniów żydowskich ukrywających się przed pościgiem hitlerowskich zbirów. — Mieszkali oni w zakładzie, nie opuszczając go nawet podczas wakacji, pod czujnym okiem Ojca, który w imię miłości bliźniego, narażał bez wahania siebie i zakład dla ocalenia prześladowanych i niewinnych przed okrutną śmiercią.

Znalazł się jednak zdrajca, który doniósł o tym władzom niemieckim.

Nadszedł smutny dzień 15 stycznia 1944 roku. Gestapo wkroczyło do zakładu, obsadzając cały dom. Uprowadzono chłopców żydowskich i zaaresztowano O. Jakuba.

Kilku seminarzystom opornym, poszukiwanym przez Niemców, udało się zbiec.

Mimo starań i zabiegów przyjaciół i władz zakonnych, nic nie zdołano osiągnąć w sprawie O. Jakuba. Został wywieziony na razie w nieznane, skąd już nigdy nie miał wrócić.

Ostatnie słowa ojca wyrzeczone na pożegnanie do swoich współpracowników: „Róbcie dalej, beze mnie"! okazało się daremne. Po uprowadzeniu dyrektora, gestapo zamknęło zakład, rozpędziło uczniów i profesorów. Po upływie trzech godzin gmach opustoszał.

Niemcy tymczasem wywieźli O. Jakuba najpierw do więzienia w Fontainebleau, a następnie do obozu w Compiegne. Rozpoczęło się śledztwo. Z czasem doszły do znajomych ojca wiadomości o jego odpowiedziach pełnych godności i powagi; odsłoniły one wrogowi szlachetność i nieugiętość duszy ich ofiary.

Przez cały czas swej męczeńskiej epopei O. Jakub był wzorem heroicznej miłości i poświęcenia, gorliwości kapłańskiej i zakonnego zaparcia się siebie. Niezliczone świadectwa jego towarzyszy niedoli dowodzą, jak bohaterską rolę odegrał w tej bolesnej drodze krzyżowej, na

którą wprowadził go Bóg. Oddał się swej misji bez zastrzeżeń, uważając ją za wyznaczoną mu przez Opatrzność, działał jako apostoł, słowem i przykładem, pocieszał, nawracał, do Boga. Ile dusz dzięki niemu wkroczyło w tym okresie na drogę wiary i przykazań Bożych, zliczyć nie podobna.

W Fontainebleau warunki były znośne. Pozwolono mu na odbieranie paczek, a nawet na odprawianie mszy św. w celi.

W obozie w Compiègne znajdowała się kaplica; na nabożeństwa schodziło się do 200 osób i większość obecnych przystępowała do Komunii św. Skupienie i zamodlenie celebrującego uderzały wszystkich i działały wymowniej niż najpiękniejsze jego nauki, których słuchano z zapartym oddechem.

By uniknąć cenzury faszystowskiej, obowiązkowej przy wygłaszaniu kazań O. Jakub wystarał się o pozwolenie na wykłady katechizmowe. Jako temat wybrał komentowanie dekalogu.

Więźniowie, bez względu na różnice wyznań zbierali się tłumnie w kaplicy, by słuchać wywodów karmelity, poruszającego najrozmaitsze kwestie religijne, moralne, życiowe i pedagogiczne z wielką siłą i umiejętnością, z taktem i delikatnością. Gdy przepełniona kaplica nie mogła pomieścić żądnych słowa Bożego, wielu stać musiało poza jej obrębem lub na zewnątrz przy otwartych oknach. Grzesznicy przychodzili się spowiadać, a wielu garnęło się do mówcy, by zasięgnąć jego rady, rozwikłać konflikty sumienia lub rozjaśnić dręczące wątpliwości.

Paczki przysyłane Ojcu Jakubowi z klasztoru lub od Czerwonego Krzyża bywały natychmiastowo rozdzielone między towarzyszy celi więziennej, czy to zapasy żywnościowe, czy też ciepłą odzież. Zawsze umiał znaleźć najbardziej potrzebujących i pozbawionych pomocy.

Stałym jego refrenem było zdanie: „Więzienie należy uważać za odskocznię, od której mamy się odbić, aby wznieść się wyżej"!

Przyszła chwila kiedy konferencje katechizmowe zostały zakazane przez hitlerowców, również zabroniono mszy św.; odtąd ojciec odprawiał ją tajemnie po różnych celach.

Pewnego dnia grupę najżarliwszych opornych, a wśród nich O. Jakuba wywieziono na wschód, ku rozpaczy pozostałych więźniów, którzy go żegnali z żalem i łzą w oku.

Cały transport został odesłany najpierw do Saarebrück, do słynnego „obozu śmierci", wśród bicia, wymyślań i brutalnego traktowania ludzi. W obozie tym panowała najstraszniejsza nędza, głód, robactwo, brud i zimno, sadyzm w znęcaniu się nad uwięzionymi. Choć nie obciążano ich ciężką pracą, ustawiczne biegi, przymusowe skoki, pełzanie, zanurzanie w lodowatej wodzie, głodzenie i bicie doprowadzały w krótkim czasie do wyniszczenia sił i do śmierci.

O. Jakub widząc niechlujstwo w tzw. rewirze czyli szpitalu i znęcanie się nad chorymi, z trudem wyjednał sobie, że mu powierzono urząd infirmarza. Poświęcił się całkowicie pielęgnowaniu nieszczęśliwych i opuszczonych chorych, sam szorował podłogi, oddawał ostatnie posługi i doprowadził szpitalik do czystości i porządku. Odstępował biedakom swe nędzne porcje, a przede wszystkim dbał o ich stronę duchową, wlewał do serc nadprzyrodzone pociechy wiary. Wielu wyratował od śmierci, a innym łagodnością i dobrocią osłodził ostatnie chwile pobytu na ziemi.

W kwietniu 1944 r. O. Jakub wraz z grupą więźniów został odesłany do Mauthausen. Choć błagał władz, by mu pozwolono pozostać przy biednych chorych, prośby jego nie zostały uwzględnione. Opuścił piekło w Saarebrück z ciężkim sercem, choć zdawał sobie sprawę, że dalszy pobyt w obozie równa się niechybnej śmierci. Dłużej jak parę miesię-

cy żaden więzień wytrzymać w nim nie mógł.

Twierdza Mauthausen wznosi się na wzgórzu nad Dunajem, w okolicy niezdrowej wskutek ostrych zmian temperatury. W pobliżu znajdują się osławione kamieniołomy; pochłonęły one niesłychaną ilość ludzkich istnień; przerażające warunki pracy zabijały ludzi, którzy też ginęli masowo zrzucani przez dozorców w rozpadliny skalne i czeluście górskie. Inni padali setkami, tysiącami, jak muchy, wskutek głodu, zimna, wyczerpania, torturowani przez nieludzkich katów, pod gradem ciosów, wieszani, duszeni, rzucani na druty naelektryzowane, rozszarpani przez tresowane psy itd. Nie brakło sposobów ni środków dla tępienia ludzkości, metodami najbardziej barbarzyńskimi, jakie zdołał wymyśleć umysł człowieka.

W takim ośrodku zbrodni, upodlenia, okrucieństwa i wyuzdania znalazł się pokorny karmelita bosy.

Po kilku tygodniach część więźniów odstawiono do obozu w Gusen, oddalonego o 5 km od Mauthausen. O. Jakub wszędzie był zbudowaniem dla swego otoczenia. Podziwiano jego heroizm w poświęceniu, jego chrześcijański optymizm i moc ducha. Mnóstwo sprawozdań piśmiennych i wspomnień współtowarzyszy bohatera i męczennika świadczą o roli moralnej, którą odegrał w obozie i o cnocie, którą jaśniał.

Jeden ze świadków tej straszliwej gehenny, przeżywszy ją w całej grozie, opisał ją plastycznie i szczegółowo i między innymi tak się wyraża:

„Ów człowiek, bez słowa skargi, z poddaniem przyjmował bicie i wszelkie upokorzenia...

„Ów człowiek miał siłę ujmować ze swoich nędznych porcji żywnościowych, tak niewystarczających, by innym ludziom dać żyć o jeden dzień dłużej...

„Ów człowiek, nie, ów święty; ujmował sobie z odpoczynku, by pocieszać, wzmacniać, spowiadać... Nie zawahał się pod grozą kar... sprowadzać Chrystusa do tego przybytku nędzy... Ten człowiek, ten święty, przeszedł przez różne obozy czyniąc dobrze. — On sam żył intensywnie pokojem i radością [1])".

O. Jakub został przeznaczony do prac przy niwelowaniu terenu w Gusen, gdzie miano budować rezerwoary wodne, potem zaś w fabryce karabinów. Praca tam była ciężka i trwała 11—12 godzin z krótką przerwą. Wskutek starań oddanych mu i bardziej wpływowych więźniów zatrudniono go później przy kontroli broni, co było zajęciem dużo lżejszym, choć moralnie przykrym.

Zaliczono go do kartoteki N. N. [2]); więźniowie należący do tej grupy byli uważani za umarłych, tj. nie mieli prawa pisać listów, ani przyjmować paczek, byli więc wykreśleni z listy żyjących.

Poza tajną pracą duszpasterską, którą ojciec uprawiał niestrudzenie, codziennie, wśród pracujących, chorych i umierających, dużo konferował i dyskutował z młodymi, a zwłaszcza z komunistami. Jego poglądy społeczne, szerokie, nowoczesne i liberalne zyskały mu wielkie wśród nich uznanie i utorowały drogę dla jego wpływu na dusze, które zwracał do Boga i odsłaniał nieświadomym piękno prawd ewangelicznych. Wielu też uratował od rozpaczy, ochronił od załamania. Niejednego zatrzymał nad brzegiem przepaści.

Przez pewnego więźnia Polaka, zdołano zdobyć trochę wina i hostie z pobliskiego kościoła dzięki czemu mógł ojciec czasami odprawiać mszę św. z narażeniem życia. Nigdy jednak nie został „nakryty".

Jedyną myślą jego i przedmiotem troski było przynieść ulgę w tym morzu cierpień, które go otaczały. Dla siebie nie chciał nigdy przyjąć żywności, z trudem zdobytej przez

---

[1]) Barbier, str. 417.

[2]) „Nacht und Nebel".

upadające siły. Odzież, którą życzliwi „organizowali“ niekiedy w westiarni obozowej rozdarowywał najbardziej potrzebującym. — Jedynie wybór był trudny: kogo uważać za bardziej potrzebującego? To pytanie stanowiło udrękę jego sumienia. Za jego inicjatywą obmyślono pomoc zbiorową: czterech więźniów łączyło się w grupę, która wspierała jedynego z najsłabszych, odstępując część swojej porcji zupy czy chleba. Przykład ten naśladowano w całym obozie, póki wszystkim nie zmniejszono racji. Dzięki temu niejeden uniknął śmierci.

Wstawiał się za tymi, którzy byli obciążeni pracą fizyczną i usiłował ich przenieść do fabryki, gdzie było lżej, chcąc zachować na godzinę wyzwolenia jednostki zwłaszcza wartościowe.

Umiał w najgorszych chwilach zachować równowagę i niezmącony spokój, nawet wtedy, gdy „kapo“ ryczący rzucał się z gumową pałką na więźniów, bił po głowie i po plecach, a O. Jakubowi niejedno się przy tym dostało. Jak szermierz szedł z głową podniesioną do walki, i zasłaniał drugich sobą przed razami kata. Otrzymawszy razu jednego potężne uderzenie kijem, szepnął do sąsiada: „O tyle mniej dostanie biedny kolega!“ Wolał zawsze brać na siebie co najcięższe, byle drugich osłonić.

Jego dynamizm i wiara w przyszość działały kojąco na otoczenie. W chwilach wolnych od pracy otaczało go grono inteligentnych Francuzów, a także więźniów innych narodowości, wśród których sporo też było Polaków. Prowadzono ożywione dyskusje, poruszano żywotne tematy, roztrząsano palące kwestie. Żywy umysł, wysoka kultura duchowa i intelektualna „per Żak'a“ (jak go Polacy nazywali), jego rozmiłowanie w nauce i sztuce, dodawało uroku tym pogawędkom obozowym.

Był „humanistą doskonałym“ jak mówił jeden ze świadków jego życia, a humanizm jego był „zakotwiczony w Bogu“. Swą bystrą intuicją, rozumiał, że po wojnie świat stanie wobec nowej, nieznanej przedtem sytuacji, wobec trudnych do rozwiązania problemów.

Gdy księży przenoszono do Dachau lub do Weimar, które to obozy uchodziły za lżejsze, a pobyt w nich za wyróżnienie, O. Jakub nigdy nie zgodził się opuścić Gusen i swoich towarzyszy niedoli, których wspierał na drodze krzyżowej „ku wzbogaceniu ich duszy“, jak się wyraził jeden z nich, dodając: „Umarł za nas, abyśmy żyli“. „Jego obecność sama była dowodem Boga żyjącego“, mówił inny.

Gdy do obozu dochodziły wiadomości z zewnątrz, nieraz nieprawdopodobne, lub conajmniej przesadzone, O. Jakub, który był optymistą, wierzył pogłoskom, i szerzył wiarę w nie, a czynił to nie z naiwności, lecz celowo, aby wpoić w ludzi nadzieję w zwycięstwo, co mu się przeważnie udawało.

Jeżeli nie przetrzymał obozu, jak niektórzy, choć miał stosunkowo lżejsze warunki pracy, to jedynie wskutek swego poświęcenia. Słusznie nazywano go „męczennikiem miłości i wyrzeczenia się siebie“. Chudł, mizerniał z dniem każdym, kaszlał coraz bardziej. Organizm jego się wyczerpywał i tracił na odporności.

Hitlerowcy usiłowali wyniszczyć, nie tylko fizycznie, ale i moralnie swoje ofiary. W tym celu wytwarzali w obozie ciągłą atmosferę strachu, przygnębienia, nagłych zaskoczeń, by złamać na duchu i nadwyrężyć system nerwowy. Dlatego też przy każdym alarmie lotniczym (choć było wiadomo, że alianci nigdy nie celowali w obozy) gwałtownie spędzano 20-o tysięczny tłum ludzi przez odległość półtora kilometra do tunelów, które miały służyć za schrony. Przestrzeń tę trzeba było odbyć w szalonym pędzie, pod gradem bicia, kopniaków i wyzwisk Ludzie musieli tam spędzać kilka godzin w ciemnościach, zaduchu, zimnie i wilgoci. O. Jakub w tych

momentach wykazywał równowagę niezmąconą, siłę ducha i godną, pełną dostojeństwa postawę.

W miarę jak z wiosną 1945 roku dochodziły do obozu tajne wieści o posuwaniu się frontu aliantów i zbliżała się godzina wyzwolenia, więźniowie przeżywali chwile oszałamiającej radości. Zdawali sobie równocześnie sprawę z tego, że schrony, do których ich zapędzano, mogą stać się dla nich, wedle zamierzenia ich katów, masowym grobem 20 kilku tysięcy ludzkich istnień. Snuły się po obozie postacie do szkieletów, a raczej do cieniów podobne, a śmierć zbierała żniwo z dniem każdym obfitsze. Komory gazowe działały w przyśpieszonym tempie, a dym wznosił się bezustannie z krematoryjnych kominów.

Pewnego dnia zjawiły się autokary międzynarodowego Czerwonego Krzyża, by wywieźć do Szwajcarii 800 Francuzów z Gusen, ale niestety, wszystkich zabrać nie mogły. Wielu wyczerpanych po długim marszu czekało godzinami pod ulewnym deszczem. Wśród nich znajdował się O. Jakub. Od tego dnia nie opuszczała go gorączka, a gdy trafiła na organizm dostatecznie osłabiony, przeszła w zapalenie płuc.

Front amerykański stał już niedaleko, więc wśród więźniów powstały komitety wyzwoleńcze. Francuzi ukonstytuowali własny, i oczy wszystkich jednomyślnie zwróciły się w stronę O. Jakuba. Wybrano go prezesem, darząc go największym zaufaniem. Ale on, dotknięty chorobą, natężał siły, by utrzymać się na nogach i do końca służył pomocą.

Dnia 5 maja amerykanie wkroczyli do obozu, witani niepohamowanymi wybuchami radości. Lecz wyzwolenie dla wielu było spóźnione.

Coraz wyższa gorączka spalała też organizm O. Jakuba. Mimo tego pracował z największym natężeniem, organizował pomoc dla chorych i najbiedniejszych, wracał do siebie w późną noc, w końcu jednak musiał się położyć. Żelazna jego wola nie zdołała przemóc wszechwładnej choroby. Padł na pasterunku, jak żołnierz nieulękły w boju. Umieszczono go najpierw w szpitalu w Mauthausen, lecz wkrótce potem przeniesiono do Linzu, gdzie lepsze były warunki i staranna opieka lekarska.

Wyczerpanie jego doszło do ostateczności; przy słusznym wzroście ważył 30 kilka kg. Do zapalenia płuc dołączyła się desynteria; wreszcie zdeklarowała się gruźlica. Trudno było się łudzić, że w takim stanie niemocy będzie miał dosyć siły odpornej na zwalczenie choroby.

Nie zaniedbano niczego, by ratować to cenne życie. Ale napróżno. Ojciec Jakub gasł w oczach, w pełni męskiego wieku. Z całkowitą świadomością swego stanu, bez żalu, ni goryczy, wyrzekł się dla siebie jasnej przyszłości, która świtała jego wyzwolonej ojczyźnie, obejmując z miłością krzyżującą go wolę Boga. — Kiedyś w młodości, wstępując do Karmelu, powiedział: „Chcę być zakonnikiem od stóp do głowy". Został nim istotnie w każdym calu, od chwili przekroczenia progu furty klasztornej, aż do grobowej deski. W obozie mówił nieraz do współwięźniów: „Kto siebie oszczędza, jest człowiekiem skończonym". On siebie nigdy nie oszczędzał, duszę swą położył za przyjaciół, tj. za bliźnich swoich.

Śmierć jego dokonała się w ciszy, 2 czerwca 1945 r. wśród rozmodlenia, mimo ciężkich cierpień. Odziano go w habit karmelitański i złożono do krypty w miejscowym kościele karmelitów w Linzu. Trójbarwną chorągiew francuską, powiewającą nad miastem, zdjęto, by przykryć nią trumnę wiernego syna ojczyzny.

Ciało jego przewiezione zostało do Avon, gdzie pod skromnym drewnianym krzyżem wśród swoich, spoczywa ów bohater i męczennik miłości.

S. L.

Św. Emilia de Rodat

założycielka Sióstr św. Rodziny z Villafranca (1787—1852)

Św. Emilia de Rodat urodziła się, żyła i działała we Francji w okresie rewolucji. Ci którzy ją znali, charakteryzowali ją w ten sposób:

Nie była silną fizycznie, rysy miała regularne; postać jej tchnęła delikatnością i szlachetnością, wejrzenie — uciszeniem i miłością. Wzrok jej żywy i inteligentny, przenikał głębie serca. Energiczna, porywcza i dumna z natury, stała się słodka i pokorna, wrażliwa na wszelką nędzę ludzką. Wiarę w Boga miała stałą i niezwzruszoną, złączona z Nim była ciągle modlitwą, w czasie której zdawała się przypominać serafina. Jej ufność bezgraniczna w Opatrzność nie zachwiała się nigdy. Wiedziała, że Bóg ją wysłucha, choćby w sposób cudowny. Miłość ku Bogu i bliźniemu ogarniała ją całą i spalała.

Kiedy mówiła o miłości Bożej, oczy jej pałały. Pogrążona była w prostocie i pokorze tak wielkiej i szczerej, że łzy wylewała, jeżeli jej przypisywano dzieła, które spełniała. Nadprzyrodzona roztropność we wszystkich czynach podnosiła Ją ku Bogu i wszystko dla Niego czyniła. Męstwo chrześcijańskie, graniczące z heroizmem było Jej tarczą ochronną. Cierpliwość i pokój niewzruszony w przeciwnościach i chorobach nie opuszczał świętej. Duch ubóstwa prawdziwie franciszkański był jej ulubioną cnotą. Jej ślepe posłuszeństwo sprawiało, że była jak narzędzie w rękach przełożonych. Wreszcie otaczał Emilię blask czystości anielskiej — do śmierci zachowała niewinność, otrzymaną na chrzcie św.

Cnota i świętość są z natury apostolskie. Tak było i u naszej świętej. Nauczycielka mądra i roztropna, najczulsza matka dla chorych i opuszczonych, jako 30-letnia osoba zakłada z trzema towarzyszkami Zgromadzenie Św. Rodziny. Trudności i przeciwności nie ustają — słyszy krytyki, groźby, sprzeciwy. brak środków materialnych. Mimo wszystko powołania się mnożą, powstają dzieła, bepłatne szkoły, sierocińce, kolegia, przytułki dla chorych i nieszczęśliwych.

* * *

Maria Wilhelmina Emilia de Rodat była najstarsza córką Jana de Rodat i Henryki de Pomayrols. Pochodziła z bogatej, szlacheckiej i głęboko pobożnej rodziny. Rodzice wychowywali dzieci surowo i prawdziwie po chrześcijańsku. Kiedy Emilia miała 18 miesięcy matka oddała ją do swej siostry Małgorzaty Pomayrols, pani na Ginals, gdzie dziewczynka wychowywała się do lat 15. W zamku stała się radością siostry, babki i drugiej ciotki, siostry wizytki, którą wojna wyrzuciła z klasztoru. O czasie tam spędzonym napisała później: „Od kiedy doszłam do używania rozumu, ciotka uczyła mnie kochać Boga. Otaczała mnie najtroskliwszą opieką. Słodkim sposobem obydwie ciotki czuwały nade mną, w czym znajdowałam wielką przyjemność. Kiedy chciały ode mnie coś otrzymać, nie nakazywały ale umiały bardzo pragnąć. Gdy zrobiłam jakiś błąd, nie robiono mi wymówek, ani karano, spojrzenie wystarczało, abym uznała swą winę. Szczególną uwagę położyła moja opiekunka na rozwinięcie we mnie doskonałej skromności. Ze słodyczą łączyła ona siłę. Kiedy polecała mu-

siałam słuchać i spełnić to, czego wymagała".

Pod taką opieką Emilia rosnąc w lata, rosła w pobożności i innych cnotach. Nie zapominała nigdy codziennej modlitwy i kierowała często swe myśli do Boga. Obdarowana bogatym umysłem i żywą inteligencją, od maleńkości chciała wszystko znać i wiedzieć. Dlatego zadawała nieustannie pytania osobom, które ją otaczały.

W zamku Ginals nauczyła się też Emilia miłości ku biednym. Wszyscy byli jej w tym wzorem. Nic więc dziwnego, że serduszko dziewczęcia, kochając z całych sił Boga, kochało też i bliźniego, świadcząc dobro ubogim i nieszczęśliwym. Pewnego razu otrzymała 20 soldów, aby sobie kupić scyzoryk. W towarzystwie służącej poszła do Villafranca po upragniony scyzoryk. Nagle w drodze rzekła: „jeżeli kupię scyzoryk za 2 soldy, 18-cie zostanie dla biednych", na to służąca zauważyła, że panience z takiego domu nie wypada kupować scyzoryka za 2 soldy. „Ależ to nic — zawołała żywo — zostanie 18 soldów dla biednych". — I tak uczyniła.

I Komunię św. przyjęła mając lat 15. Uroczystość miała charakter prywatny, a nawet tajny, gdyż zabronione były wszelkie akty kultu publicznego. Niedaleko zamku Ginals mieszkał O. Józef Delbès, Dominikanin, sławny mówca i profesor filozofii i teologii. On to przygotował Emilię do Komunii św. i z jego to rąk przyjęła Pana Jezusa po raz pierwszy. Od tej chwili Emilia czuła wielki pociąg do modlitwy, a zwłaszcza rozmyślania. Wszystko, szczególnie piękno przyrody pobudzało ją do myśli o Bogu.

Niedługo potem młode dziewczę uległo pokusom życia światowego. Zaproszona na ślub wuja, przebywała jakiś czas na zamku Clairac. Zbierała tam pochwały i uznania, z rozkoszą przyglądała się tańcom. Ze szczególną życzliwością rozmawiała z pewnym młodzieńcem, chodziła z nim na spacery, nie myśląc, że może być w tym niebezpieczeństwo dla jej cnoty. Ubiera się teraz modnie, a nie chcąc okazać się zbyt pobożną, skrycie odmawia swoje modlitwy. W czasie Wielkiego Postu nie przystępuje wcale do Komunii św., opuszcza nawet spowiednika, gdyż ten radzi jej często uczęszczać do sakramentów św. Pociąga ją też lektura świecka.

Lecz oto rok 1809 sprawadza zwrot w jej życiu. Pani d'Armagnac, była urszulanką, jako siostra San Ciro otworzyła w Villafranca dom, gdzie schroniły się zakonnice, rozmaitych Zgromadzeń, aby zdala od niebezpieczeństw świata, żyć według ich reguły. Ciotka Emilii p. de Pomayrols, pragnęła zawsze zakończyć życie w domu zakonnym. Zdecydowała więc zamieszkać w domu siostry San Ciro i dała Emilii do wyboru: wrócić do domu rodzinnego, lub przenieść się z nią na nowe mieszkanie. Był to dla dziewczęcia piorun z jasnego nieba. Życie w klasztorze wydawało jej się nie do zniesienia, cisza w Druelle — przerażała ją. Jednak wiedziała, że słuchać musi. Wybrała powrót do rodzinnego domu. I tu rzadko uczęszczała do sakramentów św. — świat ją pociągał, a duma rozpierała. Postanowiła: nie odrzucać żadnej radości, którą świat może obdarzyć. Tymczasem Bóg miał inne plany nad Emilią. Dotknął ją ciężką chorobą żołądka, która ją bardzo upokarzała i zawstydzała. — Mimo wszystko sumienie nie wytykało jej całej obojętności w stosunku do Boga. Na święto Bożego Ciała 1804-go roku Papież z okazji ogłoszenia wolności religijnej we Francji, ogłosił też jubileusz. Emilia przystąpiła do sakramentów św. — Spowiednik rozpoznał stan jej duszy i całkowicie ją przemienił. Pogardziła więc przeszłością. Wyrzekła się przyjemności światowych i zapragnęła surowego umartwienia. Wdziała na siebie skromną, prostą suknię, nic ją już nie obchodził sąd ludzki.

Dwa razy dziennie odprawiała Drogę Krzyżową w kalwarii na wzgórzach Druelle, klękając nawet w zimie na twardych kamieniach. Modlitwa i rozmyślanie stały się radością jej serca. Szukała tylko Boga i pragnęła Go, choćby za wszelką cenę. — Kiedyś sama mówiła: „Po tym tknięciu łaską, serce moje pogrążyło się w bólu na myśl o oddaleniu się od Boga przez 18 miesięcy. Pragnęłam wynagrodzić za ten czas krwawymi łzami. Poczułam się nagle zupełnie przemienioną, jakbym przeszła ze śmierci do życia. Zdawało mi się, że jestem zdolną znieść największe ofiary dla miłości Bożej. Dusza moja tonęła w niewysłowionej słodyczy i świętej radości. Byłam w niebie".

Po swoim nawróceniu oddała się czynom miłości, nawiedzając biednych i nieszczęśliwych. Tak minęło dwa lata. Emilia miała 18 lat. Za namową ciotki i spowiednika, ks. Marty, zdecydowała się zamieszkać w domu siostry San Ciro. Przełożona prosiła ją, aby uczyła katechizmu dziewczynki, przygotowuje się do I Komunii św. Zabrała się do tej pracy z entuzjazmem i zasłynęła, jako świetna nauczycielka. Następnie polecono jej czuwanie nad dziewczynkami w czasie rekreacji i wykłady geografii. Wpływ Emilii na młodzież był ogromny. Umiała łączyć stałość ze słodyczą, pociągała dziewczynki do Boga całą postacią i ułożeniem. Badała pilnie charaktery wychowanek i pomagała im do wyleczenia się z błędów.

Umiłowała do tego stopnia wyrzeczenie i ubóstwo, że gdy raz z matką i siostrą szły przez ulice Villafranca, mówiono: „kto by pomyślał, że to córka i siostra takich dam... wyglądała raczej na ich służącą".

I tak Emilia, w domu siostry San Ciro, wychowawczyni i nauczycielka — niezrównana w Villafranca — anioł miłosierdzia — przebiegała przez życie, krocząc pod opieką spowiednika, krokami olbrzyma ku świętości. Ks. Marty wyraźnie dostrzegał w penitentce powołanie do życia zakonnego; pozwolił też złożyć jej prywatnie, na swoje ręce śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Wreszcie postanowiła wstąpić do Sióstr Miłosierdzia z Nevers. Jednak po paru dniach radość i szczęście postulantki prysły — otoczyły ją ciemności, smutki, skrupuły i walki wewnętrzne. Rady przełożonej pozostały bez skutku, nie wróciły spokoju tej duszy nawet wskazówki spowiednika. Uspokoiła się dopiero, gdy ten napisał Emilii, że miejsce jej nie jest w tym Zgromadzeniu. Gdy wróciła do Villafranca, ciemności się wzmogły. Emilia trwała jednak wiernie przy powołaniu i zdecydowała się wstąpić do Sióstr Wieczystej Adoracji. Spowiednik uważał, że inna jest droga Emilii, ale uległ jej prośbom.

W pierwszych dniach czuła się wśród sióstr bardzo dobrze. Odpowiadała jej szczególnie praktyka nieustannej adoracji; jednak i tu nie znalazła takiego pokoju, jakiego pragnęło jej serce. Wreszcie wypowiedziała się szczerze przed spowiednikiem Zgromadzenia, który po kilku dniach modlitwy powiedział: „Twoje powołanie jest niewątpliwe, ale Bóg nie chce cię mieć między siostrami Adoracji. — On cię przeznacza gdzie indziej". Wraca więc do Villafranca, gdzie siostra San Ciro utworzyła nowe Zgromadzenie, dając jedną regułę Siostrom zgromadzonym w jej domu. Proponuje ona pannie de Rodat wstąpienie do nowego Zgromadzenia. Ale ta odmawia. Szuka jeszcze woli Bożej, wciągając się w szeregi Sióstr Miłosierdzia, założonych przez Matkę Marię od Jezusa, zmarłą w opinii świętości w 1839 r., ale i tu nie czuje się na miejscu i zostaje odesłana do Villafranca. Mimo tylu krzyżów Emilia się nie zachwiała. W powołanie nie wątpi. Czeka tylko, aż się wyraźnie objawi wola Boża. Minęło tak 6 lat doświadczeń, przeciwności i modlitw. Emilia ma już 28 lat. Pewnego dnia

udaje się odwiedzić pewną chorą, u której zastała sąsiadki i przyjaciółki, co opiekowały się dziećmi chorej. Kobiety te, widząc miłosierną osobę, żaliły się, że nie mają gdzie uczyć córek. — Był to dla świętej głos Boży. Tak była przejęta płaczem matek, że od razu podjęła się uczyć kilkoro dzieci. Oznajmia swą decyzję Siostrze San Ciro i obiecuje Bogu, że cała się poświęca dla wychowania biednych dziewczynek. W swoim pokoiku zbiera je i uczy. Ta pierwsza szkółka, jak malutkie ziarenko, miała się rozrosnąć we wspaniałe drzewo, sięgające gałęziami na wszystkie strony świata. Koniecznym było znaleźć odpowiednie pomieszczenie dla rozpoczynającego się dzieła, wpierw jednak ks. Marty poradził Emilii połączyć się z 3-ma panienkami — Urszulanką Delbreil, Marią Boutaric i Eleonorą Dutriac. One to były pierwszymi towarzyszkami Emilii w fundacji nowej zakonnej rodziny.

Ideał prowadzenia bezpłatnych szkół dla ubogich dziewcząt był piękny. Ale nie było środków. Emilia z towarzyszkami całą nadzieję położyła w Bogu i świętych. Zewsząd słyszały one nieżyczliwe sądy ludzkie. Tylko ks. Marty dodawał im otuchy. Towarzyszki Emilii, widząc wzrastające trudności, chciały ją opuścić. Ona tylko jedna była nieugięta i z gorącą wiarą i heroicznym męstwem mówiła: „to jest wola Boża. — Nie cofnę się". Wreszcie p. Wiktoria Alric zdecydowała się sprzedać dla nowego dzieła swój stary, na pół zrujnowany dom za 400 franków. Nie mając pieniędzy, Emilia prosi o nie rodziców. Otrzymawszy odmowną odpowiedź niesie ją przed Najśw. Sakrament i prosi: „Ojciec i matka opuścili mnie ale Ty o Boże, zastąpisz mi obydwoje — I Bóg ją wysłuchał.

I tak cztery pierwsze siostry zamieszkały w nowym domu i zaczęły prowadzić życie wspólne. Ziarno rzucone poprzez ciernie i głogi, wypuściło korzenie. Było to 30 kwietnia 1816 r. — 1 maja siostry przywdziały habity, a 3-go maja otworzyły pierwszą szkołę pod wezwaniem św. Wincentego a Paulo. 30 dziewczynek zapełniło dom. Tymczasem Opatrzność czuwała nad wszystkimi. Pobożne panie zaopatrzyły dom w sprzęty i żywność. Chcąc zapewnić domowi błogosławieństwo Boże Siostra Emilia przyjmuje pierwszą sierotkę, zapewnia jej utrzymanie i oddaje własne łóżko, zadawalniając się samym siennikiem. Wkrótce uczennice napływają tak licznie, że trzeba otworzyć drugą klasę pod wezwaniem Najśw. Marii Panny. — Większa część domu jest więc przeznaczona na szkołę i sierociniec. Siostry mieszczą się w izbie na strychu, gdzie dokucza im zimno, a mimo to, że są wątłe i wyczerpane pracą, cieszą się dobrym zdrowiem.

W tym czasie dwie nowe siostry zostały przyjęte do Zgromadzenia. Z każdym dniem organizowało się ono i umacniało coraz więcej. Skrajne ubóstwo kazało przypuszczać obfite owoce w przyszłości.

6 kwietnia 1817 roku s. Emilia złożyła zakonną profesję. Dzieło rozwijało się coraz więcej i dom był już za ciasny dla sióstr. Trzeba było pomyśleć o większym. Brakowało znowu środków, ale ufność sióstr była niezwyciężona. Matka Emilia dowiedziała się, że jest do sprzedania dom siostry San Ciro. Cena była wysoka — 700 franków. Mimo to podpisuje kontrakt i w czerwcu 1817 roku sprowadza się do domu, który przed rokiem opuściła. W nowym domu siostry mogły ściśle przestrzegać klauzurę i prowadzić życie bardziej regularne.

Nowa rodzina religijna miała dotąd tylko mały regulamin napisany przez założycielkę. Ks. Marty napisał konstytucje w roku 1821. Od tej pory Zgromadzenie obrało tytuł: „Świętej Rodziny". Zatwierdzone zostało przez biskupa z Rodez w 1832 roku. W dwa lata później Matka zakłada siostry nieklauzurowe, których zadaniem jest wychowanie dziewcząt

i opieka nad chorymi. Mają one taką samą regułę i noszą taki sam habit i żyją w wielkiej jedności z siostrami klauzorowymi. Od tej chwili datuje się wielki wzrost Zgromadzenia, tak, że święta do śmierci zakłada 36 domów, a dziś liczy ono 2.000 sióstr w 200 domach w całej Francji, Brazylii, Hiszpanii, Syrii, Egipcie, Anglii, Szwajcarii, Belgii i Rzymie.

Matka Emilia była niezrównaną mistrzynią życia wewnętrznego. Kiedy była jeszcze nauczycielką w domu siostry San Ciro, miała uczennicę, pełną „wszystkich, możliwych błędów". Była — jak mówi proces apostolski, jakby „wcielonym szatanem". Święta oddała się pracy nad jej duszą z takim poświęceniem i miłością, że dziewczynka poprawiła się, została zakonnicą i umarła w opinii świętości. Maria Boutaric była dziewczynką próżną, niecierpliwą, złą. Dzięki opiece świętej przemienia się całkowicie. Była jedną z pierwszych towarzyszek Emilii i przykładem wszystkich cnót dla sióstr Św. Rodziny. Umarła mając lat 21, jak święta. Siostrom swoim polecała Matka Emilia szczególnie ćwiczenie się w obecności Bożej. — „Dusza przeniknięta tą obecnością — mawiała — postępuje szybkimi krokami na drodze doskonałości". Duch wiary przenikał Matkę Emilię; wszystko jej o Bogu mówiło. Ale przede wszystkim życie jej wypełniała miłość do Boga i bliźnich, a zwłaszcza biednych i nieszczęśliwych. Po jej śmierci pewna osoba z Villafranca napisała: „Jeżeliby się chciało napisać życie Matki Emilii de Rodat, na każdej stronie trzebaby położyć jako motto słowo „miłość". Modlitwa i Eucharystia łączyły ją najczęściej z Bogiem. We wszystkich wypadkach, nawet smutnych widziała wolę Bożą i uwielbiała ją z radością. Porywała ją szczególnie tajemnica krzyża i siostrom wskazywała Jezusa Ukrzyżowanego, jako szkołę miłości i cnót. Widziano ją nieraz zalaną łzami z krzyżem w ręce. Ta wielka miłość Boża zrodziła w świętej nienawiść do grzechu. Zachodziła obawa, ze polip, na który cierpiała zamieni się w raka. Rzekła wtedy: „wolałabym mieć nawet 10 raków, niż obrazić Boga jednym ciężkim grzechem".

12 lat przed śmiercią święta czyni ślub wybierania zawsze tego, co doskonalsze, który spełnia najwierniej do końca życia.

Umie też ona doskonale łączyć życie kontemplacyjne z czynnym. — Miłowała ponad wszystko modlitwę i kontemplację, samotność i ciszę. Ten dar zatapiania się w Bogu był okupiony długim, bardzo bolesnym okresem walk i udręczeń wewnętrznych, dzięki którym pogłębiała się wielkość cnoty świętej. Okazała się ona w chorobach, na które święta często i bardzo dotkliwie zapadała. W czasie ostatniej choroby myśl jej skierowana była stale ku Bogu, odsunęła wszystkie sprawy doczesne od siebie. Swojej asystentce, której zleciła kierownictwo Zgromadzeniem powiedziała: „Proszę powtórzyć siostrom, że wielki pokój i dary Boże zależą od wyniszczenia całkowitego i absolutnego posłuszeństwa. Będę bardziej pożyteczna siostrom z nieba, niż gdybym została na ziemi". Spowiednikowi powiedziała „życzę sobie, aby konstytucje były zatwierdzone przez Rzym", co stało się w 1875 roku.

Na ostatnią chwilę czekała bez lęku, przeciwnie, z radością, całkowicie zjednoczona z Bogiem. Przyszła ona 19 września 1872.

Jak święcie żyła, tak święcie umarła. Kościół zatwierdził przekonanie córek Matki Emilii i tych wszystkich co ją znali co do jej świętości.

9 czerwca 1940 r. została ogłoszona błogosławioną, a 23 kwietnia 1950 roku — świętą.

Na pokornej słudze Bożej spoczęła aureola najwyższej chwały.

Na podstawie włoskiego życiorysu Jana della Cioppa 1950 — opracowała S. M. Henryka Żuchniewska C. R.

GŁOS KARMELU

Miesięcznik poświęcony głębszym zagadnieniom życia wewnętrznego
Redaguje Kolegium

Za pozwoleniem władz duchownych i zakonnych
Lp 8876/50 Książęco Metropolitalna Kuria

Kraków, dnia 26. X. 1950

Adres:
Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych
Cena pojedynczego numeru 50 zł.
Telefon 554-48. Kraków, Rakowicka 18. Nr Konta PKO IV-842/123

M-1-21947 P. K. Z. G. Nr 31 Kraków 186